CZECZOTKA.

CZECZOTKA

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez

Piotra Jaxę Bykowskiego.

WARSZAWA.
NAKŁAD MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1885.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Іюля 1885 года.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska № 20.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

We dworku.

Ongi w Ziemi Buskiej—dawno już temu—w kotlinę wydrążoną pomiędzy niebotycznemi skałami, okrytemi lasem, wgłębiła się maluchna, ale bardzo wdzięczna wioszczyna; tak zaś sobie zasiadła skromnie i cichuchno, jak u Boga za piecem—i słusznie mogłoby się zdawać ludziom, Boga w tem zaciszu chwalącym, iż nikt nazewnątrz o nich nie wiedział; nieznający bowiem tego zakątka, a takich było niemało, śmiało mogliby przypuszczać, iż na tem urwisku świat się kończy; nie było zaś Kolumba, któryby poza temi niedostępnemi skałami chciał odkryć nową ziemię, co zresztą byłoby zbytecznem, bo i tak naówczas mieli jej ludzie podostatkiem, a nikomu roli nie zbrakło.

Co prawda, że w tej zapadni nie było się o co kusić, gdyż ani obszary, ni też żyzność gleby, napół kamienistej, napół gliniastej, ni bujuość łąk i tym podobne zalety i wygody gospodarskie, niczyjej-by nie znęciły chciwości. Ktoby tam za-

siadł, rad nie rad, musiałby przyjąć za godło tę filozoficzną maxymę poety: — „Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swojem“.

Wszakże, z drugiej strony. oddajmy sprawiedliwość wioseczce onej, że przy skromności i pokorze ducha, było tam na czem poprzestać, a na dowód tego, przyjrzyjmy się bliżej temu ustroniu: jako zaciszne było i spokojne, a nad Boga, siedzącego na wysokiem niebie, poza firmamentem i orłów, gnieżdzących się na wyżynach skał, wioska nie posiadała innych sąsiadów; za to też nie narażała się na chciwość i zawiść, intrygi i inne gnębienia śmiertelników. Wprawdzie mieszkańcy wioski, żyjąc z naturą i stworzeniami bożemi, nie obdarzonemi duszą nieśmiertelną i wolną wolą, pozbawieni byli wielkiego daru miłości bliźnich, lecz tem się pocieszali, że i złość bliźniego ich nie dosięgła.

U skał podnóża, gdzie się już strome góry ku płaszczyznom pochylały, spostrzegałeś tam i ówdzie pola to poorane, to bujnym już zbożem okryte; dalej zieleniała łączka, na niej pasły się, niezbyt wprawdzie liczne, ale dorodne i wesołe trzódki; a znać wszędzie było, iż to wszystko praca i usiłowania ludzkie jakby z twardego wykrzesały krzemienia. Tę szczupłą, ale wdzięczną przestrzeń przecinał przez środek wązki, jednak wartki potok, na nim zaś para młynków dniem i

nocą żwawo warczała. Indziej znów przy kilkunastu ulach, w odosobnionej zacisznej zagrodzie, pracowite pszczółki brzęczały. Wszystkiego zaprawdę było tam, nie w bród, nie po pas, tylko skromnie i maluczko; atoli, czyliż to tak wiele człowiekowi potrzeba? — A białe chatki chłopów czepiały się, jak która mogła — u podnóża skał, otaczając się warzywnemi ogrodami i drzew owocowych zielenią.

Aliści przy tej miernocie ludzkiej, nie zapomniano i o chwale bożej, a doczesnem śmiertelnych wytchnieniu. Na odrębnym ułamku skały, wśród pięknej drzew zieleni, wznosiła się kształtna kapliczka o czerwonej kopułce, a u nóg jej krzyże i mogiły przykrywały tych, co tam po pracy na wieczne pokładli się spocznienie.

A więc wszystkiego dostarczało ciche ustronie swoim mieszkańcom i niczego poza jego obrębem szukać nie potrzebowali. Miałeś tam karm ducha i ciała, a tyle po znoju pożądany spoczynek — słowem: zaspokojenie wszystkich potrzeb krom ambicyi, nieznanej skromnym wioski mieszkańcom.

Zaiste, było tam tak zacisznie i spokojnie, iż można było nie wiedzieć o świecie, jego troskach, zabiegach, złości i wielkości, a nawet nie wiedzieć, że jest ląd stały poza stromemi skałami; gdyby na jednym ich wierzchołku, w oddali, nie

piętrzył się pyszny zamek. którego wieże i baszty, widziane z poziomu wioseczki, tonące w obłokach, zdawały się grozić zwysoka spokojnym mieszkańcom, iż się kiedyś zwalą na nich i gruzem ich swoim zasypią.

U przyczółka jednej z mniej stromych skał, w zacisznem wgłębieniu, przez samą naturę z bujnych drzew i krzewów utworzonem, przyparła się zagroda dziedzica. Otaczał ją piękny i starannie pielęgnowany ogród warzywny i kwiatowy, gęsto przeplatany owocowemi drzewami; w głębi zagrody przysłonił się schludny dworek, różniący się tylko tem jednem od zwykłych szlacheckich, iż był przydłużony nieco. a niezadawalniając się wedle przyjętego obyczaju, jednym ganeczkiem, posiadał ich aż dwa, w symetrycznej odległości, na obu końcach domu.

Możnaby się było nie zastanawiać nad powierzchownością tej skromnej siedziby, gdyby nie pewien szczegół ściągający uwagę, że jedna połowa dworku była wybielona wapnem, a miała zielone okienice i takież słupy przy ganku, druga zaś, przy żółtym kolorze ścian, miała okiennice czerwone i takiejsamej barwy słupy przy ganku; przedzielone owemi kolorami jakby pod cyrkiel, obie połowy dworku, tak co do konstrukcyi, jak i rozmiarów, w niczem się nie różniły pomiędzy sobą;

jedna je nawet strzecha słomiana, bez żadnego podziału, pokrywała.

Po obu połowach zagrody gospodarskie zabudowania w głębi podwórka, grzędy kwiatów, klomby drzew, wszystko było jednakie, jedno z drugiego naśladowane, tak, iż zdawało się, że obie połowy odbijały się wspólnie, jakby w zwierciedle, i zaledwie oswojone z miejscowością oko mogłoby tam dopatrzyć jakiejś nieznacznej różnicy, którą kapryśna roślinność sama zaprowadzała.

Przez całą długość głównej ściany dworku ciągnęła się jedna przyźba, na której znów odmienność barw stanowiła, jak na całym dworku, owo fikcyjne przepołowienie. Na przyźbie siedzieli mąż i niewiasta, chociaż tuż obok siebie, pierwszy jednak po stronie żółtej, druga po stronie białej. Oboje, acz nie pierwszej młodości, byli w sile wieku, trudnej do dokładnego oznaczenia; możnaby śmiało pomiędzy oboje setkę lat rozdzielić, któremu zaś z nich mniej lub więcej niktby ze ścisłością matematyczną nie oznaczył; oboje bowiem trzymali się rzeźwo i czerstwo, a jesień życia piękną pogodą odbijała się na ich rumianych obliczach.

Niewiasta, odziana w sycową jubkę i dradedamową kacawejkę, ustroiła głowę prostym białym kornetem o czerwonej kokardzie, który dobrze się stosował do świeżej i niezużytej cery — a ma-

jąc przed sobą pasma nici na motowidle, starannie je w kłębki zwijała. Całkiem oddana tej robocie, mniej zwracała uwagi na sąsiada, który, trzymając na kolanie deszczułkę z czarnego drzewa, kreślił na niej kredą jakieś cyfry; to je mazał, to nanowo wystawiał, tarł głowę, to namyślał się głęboko, tak, iż, gdyby nie wąs sumiasty, twarz rumiana, okrągła, a ogorzała, czysto-szlachecka, wziąłbyś go co najmniej za Newtona zacieczonego w swój binom; przerywał sobie tę robotę częstem mruczeniem:

— Hm! hm! wozowica, grobla, dożąć poletek pod cmentarzem, hm. i tak źle i tak niedobrze!....

Naostatek, zniecierpliwiony, stuknął z passyą kredą, aż się rozsypała, a zwracając się do sąsiadki, prawił:

— Ot, powiem jejmości, że gdybym był królem. dałbym koronę w tym momencie za jednego chłopa i dwie baby, bez czego nie mogę się połapać w gospodarce, bo to taki czas gorący jak w piekle. Te deszczyska wszystko do góry nogami wywróciły: tu niedożęte, tam niedowiezione, a jeszcze kaci nadali, że groblę podmyło... no, i trzebaż było Walkowi umierać w taki czas gorący— nie mógł poczekać do zimy! Maryna potrzebnie spadła ze stożka. A niechże to wszyscy dyab.....

— Jegomość! jegomość—przerwała trwożliwie

niewiasta, kreśląc wielkim palcem krzyż na medaliku, wiszącym na piersi — dajcież pokój złym duchom, nie wywołujcie ich z piekieł. Przecież ojciec Hugon powiada, że kiedy jeszcze szatan usłucha i gotów stawić się na wezwanie.

— A niech się tam sobie stawi, byleby mi dał dwie baby i chłopca na jutro, a dzień pogodny!— wrzasnął jegomość, nie hamując się.

— Jegomość, jegomość! Bóg z tobą!— wtrąciła bardziej przerażona niewiasta, a podniesionym medalikiem krzyż w powietrzu nad głowę towarzysza nakreśliła.

— *Mea culpa, mea culpa.* Słusznie powiadacie jejmość, bo to ta gęba ludzka, jak wrota popsute, przez które wszystko się przeciska—prawił jegomość uspokojony, pokornie uderzając się w piersi. Ale to widzicie jejmość — ciągnął już bez gniewu po odprawionej pokucie—jako dobrze jest powiedziano: że „małe gospodarstwo, wielkie kłopotarstwo".

— Ej nie bluźnijcie jegomość, a raczej chwalmy Boga, że nas na takiem trzyma, i prośmy Go, żeby i dzieci nasze przy nim pozostawił.

— Ono-to słusznie, ale zawsze zkąd to na jutro wezmę dwie baby i jednego chłopa?—mruczał jegomość, trapiony pierwszą myślą, trąc w zakłopotaniu podgoloną czuprynę.

— A gdyby i tego nie było, co jest, musiałbyś jegomość sobie radzić...

— Jeszcze i tego nie ma być, to już niepodobieństwo, a gdzież-by się podziało u dyab....?— wrzasnął niecierpliwie.

— A owoż się podzieje, bo mnie koniecznie potrzeba dwóch bab do lnu, dwóch do konopi i parobka z wozem.... rozpoczynała jejmość.

— Co?!—wrzasnął jegomość z głębi silnych płuc, aż wszystkie skały echem głośnym zawtórowały— czyś jejmość oszalała, czy w malignie? A niechże tam te konopie z lnem razem trzykroć sto tysięcy...

— Ja tam niczyjego żyta, ani owsa nie przeklinam; proszę się nie mieszać do moich konopi— przerwała niewiasta trochę żywiej, widocznie zniecierpliwiona.

— Już temu nikt nie zaprzeczy, moja jejmość, iż żyto i tatarka,a upust pod młynem pierwsze od wszelakich babskich lnów i konopi—i czegóż to jejmości tak pilno?

— A juściż pilno, moi tkacze próżnują.

— To niech idą do wozowicy albo żniwa, zresztą do grobli.

— Wiesz przecie jegomość, iż obaj starzy, i Grzela i Wawrek, a choć przy warsztacie dobrze się krzątają, już nie podołają innej robocie.

— Ależ pytam: czego wam tak pilno?

— Jeszcze jegomość pytacie? Przecie Justek za

trzy tygodnie. po wakacyach, wraca do kollegium: chciałabym mu przygotować drelichu w paski niebieskie na ferezyjkę....

— A to co za nowe zbytki! Niedość smarkaczowi szarego płótna?—ofuknął jegomość.

— Przecie już promowany na „poetykę“, rok ośmnasty chłopakowi, a dobrze się uczy.

— Za toż nie dostał w skórę; ale nie widzę, moja jejmość, co ma drelich w paski do poetyki?

— Trudno, ażeby chłopak, któremu się wąs zasiewa, a dotego taki stateczny i rozumny, nosił się, jak żaczek jaki w zgrzebnej bluzie.

— Gdybyś to asindźka powiedziała o Zosi, to rozumiem, bo dziewczyna ma zawsze strojniej wyglądać, to już jej białogłowskie rzemiosło, a jejmość ją odziewasz w syce i płócienka, jak służebną.

— Co tam jegomości do tego? Niech dziewczyna nie uczy się mizdrzyć zawczasu; ona nie na wielką panią stworzona.

— Justek też nie na panicza! jejmość go swojemi karesami rozpróżniaczasz tylko. Patrz-no i teraz: zamiast, żeby przy grobli pracować, co on robi?

— Co też jegomość pleciesz? — do grobli szlacheckiemu dziecku?

— A cóż? ma się bawić czyszczeniem flinty i naprawą sieci?

— Od tego wakacye, żeby umysł po nauce odpoczął. On cały rok pracuje.... ale Zosia, spojrzyj jegomość, toż dopiero próżniaczka! Czy nie mogłaby pleć grzędy, albo do krów się dowiedzieć? a ona sobie wianki splata. Jaka mi dworska panna! Zaraz ją do kądzieli napędzę!

— Kiedy tak, to ja Justka do grobli!

Po tych słowach groźby oboje starzy skierowali się w głąb' ogrodu, gdzie na darniowej ławeczce, otaczającej stuletni modrzew, siedziało dwoje młodych, a nawet bardzo jeszcze młodziutkich. Chłopiec, wysmukły o czarnej bujnej grzywce, czarnem bystrem i przenikliwem oku—zaledwie ciemny puszek wargę mu wierzchnią przypruszał,—całą uwagę skupił na strzelbę długą szwedzką, którą miał przed sobą i miłośne w niej utopił spojrzenie: widocznie że był to przedmiot nowy, niedawno przezeń posiadany; czyścił lufę, to zamki, poczem przyglądał się ich połyskowi w słońcu, to próbował czy skałka mocno osadzona, to dmuchał wewnątrz, ciesząc się owocami swych usiłowań; dla urozmaicenia tego zajęcia, zwracał się od czasu do czasu, do siatki osadzonej na zatkniętym w ziemię kiju i poczynał szybko machać drewnianą iglicą.

— Ile to ja ci, Zosiu, ptaszków nałapię—ozwał się do siedzącej obok towarzyszki, dzieweczki

o długich płowych kosach, niebieskich jak haber oczach, koralowych usteczkach, która również była zatopiona w poważnem zatrudnieniu; mając bowiem przed sobą cały stożek kwiatów, starannie dobierała ich barwy do zwijanych wianków i girland.

— Nałap ich tylko, ile chcesz — odpowiedziała słodkim głosikiem dziewczyna — to ja słabsze przezimuję, silniejsze powypuszczam, ale tylko nie zabijaj ze strzelby, bo ja na to okrucieństwo patrzeć nie mogę.

— Przecież ci przyrzekłem, Zosiu, że tylko będę strzelał jastrzębie, sępy i inne szkodliwe ptactwo.

— Pamiętaj-że, Justku, dotrzymaj przyrzeczenia, bo przestałabym cię kochać. A wiesz co, Justku? Gdybyś ty mi złapał w siatkę młodego jastrząbka, ja go sobie wychowam.

— A to doczego? Jeszczeby ci piękną buzię podrapał.

— Alboż to ja dziecko? nie umiem się z ptakami obchodzić? Pamiętasz tego sępa, co mi uciekł: wychowałam go od pisklęcia, a nic mi przecie nie zrobił złego. Ale patrzaj-no, Justku, jakie to ja girlandy związałam do naszego ołtarza, a jak go ustroję od samego wierzchu — bo tobie tak pięknie, kiedy służysz do mszy pomiędzy kwiatami... A jak ci komeszkę uprałam ślicznie, a ogarnirowałam

taką delikatną siateczką, własnej roboty, jak pajęczyna. Matuchna darowała mi amarantowy fontaź od swego korneta, i zrobiłam ci taką elegancką kokardę, że sam Ojciec Hugon nie ma podobnej.

— No, toż cię za to uściskam, moja Zosiu.

— No, no, tego nie, bo mama mówiła, że będzie czas na to, ale teraz nie można; poczekaj aż się kiedyś pobierzemy — odparła dziewczyna figlarnie, usuwając się od chłopca i zastawiając drobną rączką jak tarczą.

Czy to nie można poważnie rozmawiać, jak tatko z mamą? Ale posłuchaj, Justku — dodała Zosieńka smutno, kiwając głową — od wczoraj za trzy tygodnie ty już pojedziesz do tej nieznośnej szkoły, to już ani jednej girlandy nie zwinę. Doprawdy, nie rozumiem do czego ta szkoła i to na tyle lat, bo czyliż ty głupi, żebyś się jeszcze uczył? Przecie nie będziesz filozofem ani księdzem, ale takimsamym gospodarzem, jak tatko?

— Przecie słyszałaś, Zosiu, co powiada O. Hugon, że nauka w każdym stanie się przyda, a zresztą, czyliż mi tak jeszcze długo? Poetyka i teologia — i po wszystkiem!

— Cóż to za niegodziwe gadanie! Znać, żem tobie nie jest miłą, jak ty mnie — odparła nadąsana dziewczyna — Toż całe dwa lata, nim wrócisz z tego kollegium do domu. Ja będę miała rok siedm-

nasty, zestarzeję się, a tymczasem i oczy wypłaczę.

Po tych słowach dziewczyna, zakrywszy twarz rękoma, jęła płakać pocichu; chłopiec pocieszał ją, jak umiał.

Atoli pozostawiając młodych, z których rozmowy, jakkolwiek ważnej i zajmującej dla nich, niewiele się dowiemy — wróćmy do starszej pary, którą widzieliśmy w zamiarze rozerwania miłego odosobnienia młodych; lecz nagle w połowie drogi starzy, nic nie powiadając głośno, jednocześnie rzekli sobie w myśli:

— Póty ich szczęścia, póki młodzi—i jednocześnie zajęli na przyźbie dawne miejsca.

Jegomość, z rozproszonych kawałków rozbitej kredy wyszukawszy największy, znów przy gniewnem mruczeniu jął kreślić swoje hieroglify, jejmość z widoczną irrytacyą zwijała nici na kłębek; pomiędzy obojgiem zawisła czarna chmura niechęci. Niewieście, jako należącej do płci wielomówniejszej, widocznie ciążyło przydłuższe milczenie: zatem pierwsza je przerwała, mówiąc jakby do siebie i wskazując palcem wierzchołek góry:

— Oho, kurzy się „grzbiet dachów“, to już niezawodny prognostyk ulewy na jutro, albo jeszcze i w nocy.

— A niech-że to wściornasty! Miłe przepowie-

dnie! ale żeby dzikie bestye jutro z nieba padały, to nic nie pomoże: nie dam jejmości ani jednego paznogcia, nietylko człowieka!

— Nic mi na tem nie zależy, czy jegomość dasz czy nie dasz: sama wezmę co mi potrzeba, przecież tak dobrze jestem sobie tu panią, jak ktoś panem i nikogo prosić nie myślę—wypowiedziała niewiasta stanowczo, nadspodziewanie zdobywając się na odwagę.

— Kiedy tak, mościa pani, kiedy wam moja opieka i moje dobre chęci ciążą, to separujmy się ostatecznie. Od tego momentu nie wtrącam się do spraw jejmości, proszę sobie gospodarować, jak się podoba.

Po tych słowach, ciężko sapiąc, wstał z przyźby i usiadł na czerwonym ganku, odwróciwszy się od zielonego, na którym w tejsamej postawie usiadła niewiasta; że oba ganki były w niewielkiej odległości, oboje więc zagniewani nie przestawali mruczeć, niby to do siebie, wszakże każde mruczało w ten sposób, ażeby być słyszanem przez przeciwnika.

— Obaczymy, jak to pójdzie owo babskie gospodarstwo i czy daleko zajdą tkacze o suchym pysku!—mruczał jegomość.

— Ciekawa jestem, kto to całą czeladź obszyje; niezadługo tu panowie i słudzy będą świecili ła-

chmanami! — odmruknęła jejmość ze swego ganeczku.

— Pomalowała się na zielono jak żabka majowa. Proszę, czy jest w tem sens?—znów zaczynał jegomość.

— A jużci nie na żółto-gorąco z czerwonem, jak dudek—odpłaciła jejmość.

— Gadaj-że tu babom o heraldyce! jedno co kozie o pieprzu. Jakby to nie można pojąć, iż żółte z czerwonem to barwy klejnotu Prawdzica, gdzie lew żółty z czerwonego muru wychodzi; ale obaczymy przy nowem gospodarstwie, jak się długo ta zieloność utrzyma. A no, proszę, grozi mi, deszczem jak czarownica....

— Straszy mię jegomość separacyą, jakbym to bez niego radzić sobie nie potrafiła; obaczymy: która koza wprzódy przyjdzie do woza?

— Obaczymy, obaczymy!

Pomimo tych nieustannych przycinków, których próbkę podaliśmy, jegomość był ciężko zasępiony, co chwila tarł czupryną i targał wąsa, a jejmość ukradkiem chustkę przykładała do oczu.

— Widzisz, Justku, zaczyna się separacya pomiędzy rodzicami, której ty nie znasz — szepnęła dziewczyna do towarzysza.

— I często się przytrafia?—i trwa jak długo?—spytał Justek.

— Parę razy do roku, i trwą czasem dni kilka,

dopóki O. Hugon nie pogodzi. A jak tu pod ten czas w domu nieznośnie; wszystko do góry dnem się wywraca, bo żadne z rodziców do niczego się wtrąca, a domowi robią, co im się tylko podoba.

Kiedy tak siedzieli staruszkowie, jak pospolicie zowią „w orła dartego“, dogadując sobie mruczeniem przeróżnych przycinków, na wierzchołku jednej góry, którędy przechodziła wyżłobiona w skale wązka drożyna, jedyny łącznik onej zapadni z resztą świata, ukazał się dla patrzących z niziny jakby punkcik maleńki, zwiastujący o rzadkiem w zaciszu wydarzeniu: o przybyciu kogoś obcego z innego świata. Na ten niezwykły widok oboje starzy zamilkli, a zawsze odwróceni od siebie, w on punkcik pilnie się wpatrywali. A ponieważ droga była nieuczęszczana, a przez kręty wąwóz prowadziła, punkcik więc ów, poruszając się zwolna, stopniowo wzrastał w oczach patrzących, aż dopiero po pewnym czasie, kiedy na połowie stromej góry się znalazł, dla obserwujących już stał się niewielkim wózkiem zaprzężonym w parę koni; wtedy oboje starzy, opuszczając swoje miejsca, spotkali się na środkowym punkcie owego malowanego przedziału, i oboje jednocześnie z uprzejmością do siebie przemówili:

— Moja jejmość, wybaczcie, żem się trochę zaperzył. To ta niegodziwa sierdzistość, nad któ-

rą rozum nigdy nie zapanuje. A składając moję exkuzę, po bliższem spenetrowaniu rzeczy widzę, że waszemu słusznemu żądaniu, co do udzielenia robotnika, winienem i mogę zadość uczynić.

— Mój jegomość — prawiła jednocześnie niewiasta — wybaczcie tej mojej niewczesnej gorączce. Ot, zwykle nasze białogłowskie alteracye; po głębszym namyśle skombinowałam, że nie będę was pozbawiać tak drogiej w gorący czas gospodarski robocizny, a z mojemi służebnemi wszystko załatwię.

— Ależ, moja jejmość! Zbyteczne są wasze exkuzy. Jam to wszystkiemu winien i szczerze się submittuję.

— Gdzie zaś jegomość! Jam to dała okazyą i ode mnie exkuza się należy. Tylko nie chowajcie do mnie rankoru, bo ot i Bóg daje gości. Nie chciałabym, aby z mej winy oblicze wasze było zasępione.

— A tak, tak, moja jejmościuniu. Między nami różnie tam bywa; ale przeto za łaską Bożą, dożyjemy w świętej zgodzie, a przed gośćmi—sza! „Żeby cię pieczono i smażono w smole, nie opowiadaj, co się dzieje w szkole.“

Mówił to jegomość rubasznie, a całując z galanteryą rączkę jejmości, dodał:

— To jako należna submissya i exkuza. A teraz, moja jejmość, pójdę się ogarnąć, żeby przystojnie

gościa powitać. Ciekaw jestem: kogo to nam Bóg daje; zdawało mi się, że to może jaki bernardyn, kolega O. Hugona... Ale to nie ich konie. Zresztą obaczymy. bo za kilka pacierzy już będzie tu.

Poczem oboje starzy zniknęli, każde we właściwym ganku.

Oile starzy radzi byli tej dywersyi, która niemiłą ich „separacyą“ u samego początku przerywała; o tyle młodzi wbrew przypowieści „gość w dom Bóg w dom“—nie cieszyli się z tego; pierwsza Zosia, powstając, rzekła niechętnie:

— Trzeba się nam przebrać na wszelki wypadek, gdyby rodzice zawołali do gości.

Poczem rozłączyli się młodzi markotni: ona wstąpiła do zielonego, on zaś do czerwonego ganeczku.

Tymczasem gospodarz domu, zamieniwszy szary kubrak płócienny i pas skórzany na kontusz a pas jedwabny przy karabeli, stał w ganeczku zgięty we dwoje, oczekując uprzejmie na przybycie gości.

Na podwórko wtoczył się niewielki, zgrabny wózek węgierski, parą raźnych koników ciągniony. Gość, dojrzawszy zdala gospodarza, wyczekującego w ganku, przez równą grzeczność kazał się woźnicy zatrzymać niedojeżdżając, a zrzuciwszy ze siebie biały kitel podróżny i słomiany kapelusz, kroczył szybko do ganku; odrazu okazał

postawę wspaniałą dorodnego mężczyzny, w sile wieku; miał na sobie kontusz z sajety granatowej na żupanie, koloru słomkowego, i pas słucki, złotem na niebieskiem tle przerabiany; w ręku trzymał niewielki kołpaczek rysi o denku żółtem, z czaplem piórkiem. Widać było, że nawykł ubierać się z pewną fantazyą i wytwornością, tak, iż snadno było poznać w nim człeka bywałego na wielkich dworach.

Gospodarz, widząc gościa kroczącego ku sobie, nierozprostowany z pokłonu, pośpieszał na powitanie; lecz gdy już się zbliżył ku niemu o kilka kroków i wzniósł wzrok do góry, pozbywszy się ceremonialnej postawy, rzucił się gościowi na szyję i zawołał:

— Oto mi gość! A niechże będzie Bóg pochwalony! Witajże, witaj bracie Tomaszu!

I ściskali się jak bracia, chociaż bowiem krewieństwo między nimi było dalekie, jak to dawniej powiadano: „dziesiątej wody na kisielu“, lecz wówczas węzły krwi jeszcze się tak nierozluźniały, jak dzisiaj.

Skoro tedy obaj mężowie dowoli się wyściskali, gospodarz, prowadząc gościa do ganku, wołał na całe gardło:

— Jejmość! dzieci! brat Tomasz przyjechał. A chodźcież tu co żywo na powitanie miłego gościa.

Natychmiast z zielonego ganeczku ukazała się jejmość, choć w tymsamym kornecie, ale nieco podczubiona świeżą kokardą; za nią dzieweczka, kraśna, jak wisienka,—ta tylkojakimś kwiatkiem, skradzionym z wianuszka, dopomogła wdzięcznej naturze,—a żywy rumieniec przybyciem gościa wywołany reszty arcydzieła dokonał; wszakże Stwórca łaskawy niewiele mu roboty pozostawił. Z jejmością gość się ucałował w ramiona, obyczajem poważnych ludzi, młodzi zaś z należnym respektem przystąpili do rączki pana wuja, który, witając Zosię lekkiem uderzeniem po kraśnych jagodach, ozwał się:

— A toś mi wypiękuiała, moja jejmość! pewno za mąż poszłaś...

Biedne dziewczątko na ten żart omal nie spłonęło ogniem oblewającym jej, i bez tego rumiane, policzki; szczęściem, że gospodarz domu przyszedł dziewczynie w sukkurs:

— Alboż nie mogłaby nietylko ślubować, ale i owdowieć, od czasu, kiedy pan brat byłeś na nas łaskaw?

— No, a ty kawalerze — ozwał się z kolei pan Tomasz, uderzając z całej siły Justka po ramieniu — czegoś tymczasem dokazał: czyś już rotmistrzem pancernej chorągwi, czy rektorem O.O. Jezuitów?...

— Dałby Bóg, panie wuju — odparł niezmie-

szany, całując w rękę — abyście mi pierwsze wyprorokowali, lecz co do drugiego, nie czuję w sobie wokacyi.

— To bardzo źle, bo „ksiądz w rodzie bieda nie dobodzie.“

— Oho, co dotyczy księdza, a skocz tam Justek do O. Hugona i powiedz, co to za okkazyą mamy z łaski Boga: niech starowina przyjdzie się z nami nacieszyć. A wy, jejmościuniu, poszperajcie tam dokumentnie w waszej apteczce, bo już kto po naszych drogach się tłucze, to prawdziwy przyjaciel.

— „Nie ma złej drogi“ — rozpoczął jowialnie pan Tomasz, patrząc na kraśniejącą Zosię, ale mu przerwał gospodarz.

— A patrzcie go, co za bałamut! Spróbuj tylko skończyć, panie bracie, zadenuncyuję cię przed panią bratową, na jakiego-to się waść bisurmanina sposobisz. Zosiu, uciekaj od tej pokusy.

— Ano, czemużbym nie miał skończyć?— powiadał p. Tomasz filuternie — „Nie masz złej drogi w tak gościnne progi“. a teraz możesz mnie panie bracie zapozwać przed trybunał matrymonialny i wygram sprawę.

— Ano, patrzajcie go, złapże tu, bądź mądry! To czysty piskorz: już go masz w garści, a on ci się przez palce wyśliźnie... cha! cha!... — śmiał się do rozpuku gospodarz, a pytał:

— Cóż to waćpan rozmaitym bogom służysz, bo i Temidzie i muzom?

— Ba, ciągnę za ogony wszystkie sroki, jakie się ino nadarzą: to najpewniejszy sposób żadnej nie pojmać.

— Tak czy owak, ale niech ci Bóg sekunduje, miły bracie, żeś mnie nawiedził, bom się kaducznie do ciebie stęsknił—zawołał uradowany gospodarz, ponawiając uścisk serdeczny.

— Ot, wiesz co, bracie Tomaszu: *suum cuique*; nie chcę brać, a raczej kraść, co nie moje, a na ten raz odpowiem ci starą przypowieścią— „nie masz karesu bez interessu“; bo oto ja do jegomości w pewnej sprawie...

— „Sprawa... interes“ — przerwał gospodarz, odskakując od gościa z trwogą i zdziwieniem — a to coś nowego, mosanie, nietylko dla mnie, ale dla moich antenatów, bo my, Czeczotkowie, od kilku pokoleń zapuściliśmy się w te skały, jak w przepaść, żeby owych wyrazów ze świata waszego, „sprawa, interes“ niesłyszeć.

Sposępniał po tych słowach, stracił animusz i fantazyą, które go na powitanie gościa były opanowały, i mówił już nie bez pewnej trwogi:

— A dajże mi pokój, panie bracie, z owym *interesem*; nie poruszaj kości dziada, pradziada i prapradziada, którzy tu spoczęli w tej spokojnej i zacisznej Czeczotce, a o uszy ich szczęśliwe nie obił

się nigdy wyraz „sprawa.“ Dlatego-to oni na tak małem przestawali i nic nie żądali od tego tam świata—(tu wskazał ręką na wierzchołki skał), aby i on niczego od Czeczotków nie żądał, a zostawił ich w pokoju.—Ano, mów już, rozpowiadaj, panie bracie, co to za ta sprawa; bo mnie jakoś mrowie przechodzi—a w duchu sobie dodał:

— Nie darmo to jejmość przed godziną upominała, żeby nie wywoływać złych duchów: otóż ich masz, przyszli jeszcze z *interesem!*

Tymczasem gość, który pod tak dobrą wróżbą próg ten przyjazny przestąpił, stał teraz zmortyfikowany tym niespodzianym obrotem rzeczy; boleśno mu się stało, iż w dom, który miłował, wnosił, według uprzedzenia gospodarza, zmartwienie.

— Ano, mów, mów — powtórzył niecierpliwie gospodarz — bo stoję jak na żarzących węglach, hm, hm, *interes*—mruczał sobie.

— Ej, bracie Wincenty, na gorąco waść kąpany, a ja ci powiadam, nie taki straszny dyabeł, jak go malują — rozpoczął przybyły z perswazyą.

— A co? „dyabeł!“ Ze złym duchem poczynasz: miała jejmość racyą, żem sam to wywołał! — przerwał gospodarz, gwałtownie kładąc na siebie znak krzyża.

Pan Tomasz, patrząc zdziwiony, a niemniej przerażony, na uprzejmego przed chwilą gospoda-

rza, już był w obawie, iż go nagle rozum odstępował, gdy wtem ukazała się w ganku jejmość z Zosią. Znikły one były przy pierwszych powitaniach, a teraz powracały z tacami, uginającemi się pod ciężarem rozmaitych darów bożych, stawiając zaś to wszystko na ganku, gospodyni ozwała się uprzejmie:

— Co mam łaski, panie bracie, prosimy na ten skromny posiłek. Co Bóg dał, czem chata bogata tem rada.

Zajęta zaś przygotowaniami częstunku nie uważała konfuzyi na obliczach mężczyzn.

— Ano, panie bracie, co mam łaski, prosimy— ozwał się gospodarz, siląc się na dawną uprzejmość, a prowadząc gościa pod rękę ku gankowi, szepnął mu:

— Albo wiesz co, bracie, już mi nic nie mów o tym *interesie*, bo nie chciałbym zaburzyć tego kontentu. jakiego doznaję z twego przybycia. Sza! przed babami i księdzem — zakończył tajemniczo.

Tymczasem Justek służył za podporę staruszkowi bernardynowi. Był to człek lat bardzo podeszłych, pięknej postawy, rzeźwego i wesołego oblicza, nogi mu jedne nieco zawadzały, ale co do reszty trzymał się niemal pomłodzieńczemu, a humor, wesołość i spokój, któremi snadź długie

służenie sobie Bóg mu odpłacił, zdobiły jego miłą starość.

Powitanie ojca Hugona sprawiło pewną dywersyą, w owem zachmurzeniu pomiędzy gościem i gospodarzem; miodek ich do reszty wypogodził, chociaż nie można powiedzieć, aby jednemu i drugiemu nie marszczył czoła pewien niepokój, nad którym zapanować usiłowali.

Noc przy wczesnej jesieni była ciepła i pogodna; rozpaliwszy więc latarnie na ganku, dłużej się zabawiali. Z powinności zaś domowej, oboje gospodarze wydaliwszy się dla dyspozycyi, pozostawili gościa sam na sam z O. Hugonem, gdyż młodzi także znając, *mores* ówczesne, nie śmieli się starszym narzucać, co prawdopodobnie spełnili z ochotą, przekładając odosobnienie; było to na rękę gościowi, bowiem O. Hugon, posiadał wielką przewagę nad całym domem, już-to raz, jak każdy duchowny przykładnego życia, a niemniej i z tej racyi, że był stryjem rodzonym gospodarza. i poświecku także Czeczotką. Z czystego powołania, wstąpił zamłodu do zakonu, któremu wysłużywszy gorliwie pół wieku z okładem, dziś jako emeryt, uzyskał prawo odpocznienia i pokrzepienia starości, a sił pracą nadwątlonych, i osiadł na kapelanii w Czeczotce, gdzie się urodził i gdzie teraz swojem oddychał powietrzem.

Kiedy pozostali sami z panem Tomaszem, ten

pośpieszył wyjaśnić powód swego przybycia, który również zachmurzył pogodne czoło starego zakonnika; wszakże, spokojniejszy z natury i stanu swojego, wysłuchawszy sprawy do końca, zadecydował:

— Smutne to, zaiste, ale nie masz złego, coby na dobre nie wyszło. Dobrześ to waść uczynił, żeś się podjął tej pertraktacyi, bo kielich goryczy przyjazną ręką podany zawsze mniej cierpkim bywa, a jako krewny i przyjaciel mniej szorstko do tego przystąpisz. Dziś nie daj się wybadać, a jutro po mszy św., którą odprawię na intencyą pocieszenia Wincentego, jakoś skombinujemy, aby owo cierpkie danie oile możności osłodzić.

W trakcie tego dyskursu wracał pan Wincenty do gościa; lecz O. Hugon natychmiast żegnał się, mówiąc:

— No, ichmościowie spać, bo dalej i kur zapieje, a dodnia czekam na was ze mszą św. na podziękowanie Bogu, że nam tak miłego gościa zesłać raczył.

Stary, oparłszy się na lasce i Justku, posunął ku swojej plebanijce, która się znajdowała wśród pięknego sadu i pasieki, za kaplicą.

Gospodarz gościa prowadził na spoczynek. Niezawodnie, gdyby się byli dwaj przyjaciele spotkali w zwykłych warunkach, do brzasku prze-

dłużyłaby się pomiędzy nimi serdeczna gawędka; ale teraz owa sprawa stanęła pomiędzy nimi, jak nieprzebyty przedział, i jeden przed drugim udawał sennego, a pilno im było na spoczynek, którego istotnie żaden nie zażył: jeden trapiony myślą, w jaki sposób podać ową czarę goryczy bratu i przyjacielowi, drugi niespokojny odgadywaniem tego, co się zawierało pod strasznym wyrazem „interes“, który z dziada pradziada, wszyscy od siebie odpychali.

Dzień jeszcze dobrze nie zaświtał, gdy obadwaj już stali na nogach, a tak im jakoś było nieraźno, jak nigdy; nie wiedzieli, co ze sobą począć, lecz szczęściem O. Hugon na mszę zadzwonił.

Wracając z nabożeństwa, wzięli pomiędzy siebie bernardyna, któremu służyli za podporę fizyczną w jego niemocy, ale prędzej może staruszek ksiądz ich podpierał duchowo w srogiej alteracyi. Za przybyciem w ganku już zastali przygotowany posiłek; w każdym innym razie raczyliby się *honeste*, boć to ząb szlachecki najostrzejszy bywa po rannej modlitwie; lecz jakoś braciom nie do jadła było i zaledwie półgębkiem cześć oddali staraniom gospodyń, czem się one widocznie zmartwiły.

Koniec końców, jakoś się nie kleiło. Już i p. Tomasz chciał zaniechać rozpoczętej sprawy i pod pretextem, iż mu pilno było, kazał zaprzęgać. Go-

spodarz *pro forma* zatrzymywał, ale zlekka. Staruszek ksiądz był świadom rzeczy, ale nie brało mu się na dyplomacyą, ażeby ją na wierzch wydobyć: słowem ciężki przymus nad wszystkimi zapanował.

— Wiesz co, panie bracie — zdobył się na odwagę gospodarz — kiedy to się bywało na wojnie, miałem sposobność skonwinkować się, iż tchórze najgorzej wychodzą, a zawsze pierwsi natrafią na niebezpieczeństwo, którego gorliwie unikają, stawiący mu zaś śmiele czoło, częściej wyjdą bez szwanku.

— Ono to tak zwykle bywa — wtrącił gość, idąc skwapliwie naprzeciw dobrej woli gospodarza.

— He! — prawił p. Wincenty — Czeczotkowie z łaski Boga, przez pięć pokoleń zagłębiwszy się w one urwiska, żyli sobie *procul negotiis*, nie znali świata, tych jego *spraw* i *interessów*, ani jego złości ani miłości, która podczas gorszą od tamtej bywa, wszakże nie idzie zatem, aby mi Bóg nie sądził inaczej,—tamtym się „skrupiło a mnie się zmiele“,—niech się dzieje wola boża!— Wiem, zaś panie bracie, i zanadto polegam na twojem sercu i affekcie dla mnie, iż jeślić ten tam „interes“ jest czemsiś złem, toś nie wymyślił go dla pognębienia mnie i zmortyfikowania; przykrość

zaś z poczciwej ręki straci coś ze swej goryczy — mów śmiało!

Panu Tomaszowi jakby kto usta rozwiązał po tych słowach; począł skwapliwie:

— Masz słuszność, panie bracie, bo, tak mi Boże dopomóż, iż w niekłamanym affekcie dla ciebie radbym ci nieba przychylić. Otóż dowiedz się, że chociaż nie z własnego popędu przybywam, ale nic ci złego nie przywożę: owszem, pomyślną wieść, która raz cię wyrwie z tego osamotnienia, z klauzury dobrowolnej.

— A niech-że ucałuję te błogosławione usta, które mi to zwiastują! Dawnom tego czekał—zawołał z ferworem, rzucając się w objęcia bratu.

To już nie chybi, jest wojenka, czułem w powietrzu, iż coś się gotuje; a zresztą, powiem ci, że nie tyle dla mnie, ile dla mego Justka. Bo to ci powiadam, kubek w kubek... Przeszedłem na poetykę jak Justek, w temsamem lwowskiem *collegium*, kiedy ojciec nieboszczyk, partyzant króla Leszczyńskiego, wziął mię wyrostka i całe to straszne oblężenie Gdańska odbyliśmy. To nic: potem dla młodego siła onej nauki, głowę tylko zawraca, a na wojnie człek się otrze między ludźmi i nabierze tego poloru, a doświadczenia, którego żadne szkoły nie dadzą. Mówże, panie bracie, gdzie, jak, co się zawiązuje?—stanę pierwszy z moim chłopcem.

Mówił to wszystko gospodarz jednym tchem prawie, nie zostawując gościowi czasu do opamiętania się i rozmysłu nad tem, jak wybrnąć z kłopotu.

— Ależ poczekaj, panie bracie, pozwól mi domówić rzetelnie. Jako żywo, wszystko jest pokojowo i na wojnę wcale się nie zanosi—prawił gość zbity z tropu.

— Nie zanosi się—powiadasz—odburknął gospodarz—a cóż waść mówisz, aby mię z mego zacisza wydobyć, kiedy ci powiadano, że Czeczotkowie od wieków ruszają się ztąd tylko na wojnę; inaczej prochem mię ztąd nie wysadzisz.

— Bóg ci dał syna, panie bracie, czyliż na tej waszej kreciej norze świat się kończy?

— Co powiadasz o kreciej norze? dla kreta nora to ojczyzna, to ziemia obiecana. Spytaj brat księdza stryja, jak my tu walczymy z kretami i czyli tak łatwo da się wyparować ze swojej nory? Tak, dla brata nora, a dla Czeczotków Czeczotka! Niech każdy swego pilnuje, gdzie się zrodził i wyrósł!—zawołał p. Wincenty gwałtownie, a uspakajając się, dodał:

— Cóż dasz kretowi lepszego nad jego norę, a mnie nad to zaciszne urwisko?

— Myslałem, panie bracie— rozpoczął Tomasz nieśmiało—dobrą ci zwiastować nowinę, że panu wojewodzie podobała się twoja wioska.

— Panu wojewodzie moja wioska?—wzruszywszy ramionami, odparł gospodarz—czy kpisz czy drogi pytasz, panie bracie, a gdzieżby ją widział. A, już teraz rozumiem, jako *facetus*, chcesz wyprawić zemną jakąś krotofilę swoim zwyczajem, ale uprzedzam, iż na ten raz nie dam się złapać.

Pozycya p. Tomasza coraz się więcej plątała, nie mógł wybrnąć z zakłopotania, aby dopowiedzieć co mu na sercu leżało; staruszek zaś, Bernardyn, nieco głuchy przez wiek, niedosłyszawszy rozmowy, nie mógł mu przyjść z pomocą.

— Ależ, bracie, jak mi Bóg miły, jak ci pragnę wszelkiego dobra, tak wcale sobie nie drwinkuję, bo właśnie z tem przybywam, aby ci zaproponować sprzedaż wioski. Niemiec, który w Krystynopolu nowy ogród zakłada, jak jął z najwyższej baszty przez lunetę przeglądać, upatrzył sobie to urwisko i chce je do ogrodu przyłączyć; ma tu porobić jakieś kaskady, fontanny i kat tam wie jakie niemieckie figle—a dlatego, rozumiesz ....

Rozpoczął p. Tomasz z całą siłą perswazyi, na jaką tylko mógł się zdobyć, aby do jakiego takiego dojść końca, gdy mu gospodarz przerwał z passyą, przedrzeźniając go:

— A no, czemuż nie mam rozumieć, kiedy to takie jasne! Mnie samemu podobał się zamek krystynopolski; chcę tam sobie założyć oborę no-

wą i właśnie chciałem proponować p. wojewodzie ustąpienie.

Po tych słowach wskazał na wierzchołki skał, na których pod firmamentem szarzały wieże zamku.

Panu Tomaszowi ręce opadły na to wystąpienie dziwaczne, i już napół niecierpliwie; perswadował:

— Nie bądź-że dzieckiem, p. Wincenty, bo chociaż służę p. wojewodzie, wszelako nie tknąłbym tej sprawy, gdyby tobie jakikolwiek uszczerbek przynieść mogła; owszem, widzę tu twoję korzyść i zapewnienie przyszłości twoich dzieci; wojewoda jest pan, chce i może zapłacić, a masz okazyą te twoje kamyki zamienić na jaką porządną wioskę.

— A co mi kto ma powiadać, gdzie mi dobrze i co mi jest pożądanem?! Już jak powiadałem, kret lubi swoje kretowisko, ja moję Czeczotkę, p. wojewoda swój Krystynopol: niech każdy siedzi gdzie go Bóg posadził—zawołał gniewnie p. Wincenty.

— A czemuż się nie przesiąść wygodniej, kiedy się zdarza potemu okazya, mój panie bracie? Na to Bóg panów stworzył, ażeby mieli swoje fantazye, a szlachtę, by z niej korzystała.

— Kiedy się podczas szukało guza na tym waszym świecie, słyszałem tam mówiących, iż „szla-

chcic na zagrodzie równy wojewodzie": czemuż więc, wolno jaśnie panu Potockiemu chcieć mojej mizernej Czeczotki, a mnie nie wolno pragnąć Krystynopola? Albo wiesz co, panie bracie, ażebym dowiódł mojej powolności dla jaśnie wielmożnego pana, mieniam się na Czeczotkę za Krystynopol, głowa na głowę, i niech sobie p. wojewoda czy pani wojewodzina, zakłada tu ogrody, fontanny i co się tylko żywcem spodoba; a tymczasem krówki p. Maciejowej będą sobie rezydowały na pańskim zamku. No, zgoda, oto daję ci rękę jako pełnomocnikowi wojewody, a chcesz? spisz komplanacyą—zaraz podpiszę.

— Zbywasz to drwinami, panie bracie—prawił nachmurzony pan Tomasz—a w rzeczy pojąć nie mogę, coć na tej zapadni tak zależy?

— Co?—żałośnie kiwając głową, mówił p. Wincenty—sam z niej niejako pochodzisz, albowiem twoja prababka Czeczotkówna *de domo* i mój pradziad byli sobie rodzeni. Powinienbyś wiedzieć, co nas tu wiąże?—oto krew pot i praca. Jeszcze dziad mojego pradziada, a twej prababki, sprzykrzywszy sobie świat, a niech to będzie niewymownem panu bratu, natrafiwszy w Proszowskiem, gdzie siedział i zkąd gniazdo Czeczotków poszło, na takiego wojewodę sąsiada, któremu się jego kawałek ojcowizny podobał, tak, nieprzymierzając, jak niby ów mój zakątek panu krystonopol-

skiemu, wyparty z dziedzictwa, schronił się w te oto skały, które wówczas były jeszcze dziką jaskinią. Pracował w pocie czoła, a po pewnym lat przeciągu umierając, dwom synom swoim ten obszarek uprawny pozostawił, a od swej godności szlacheckiej nazwawszy jednę połowę Czeczotką, a drugą Prawdzicami. od naszego klejnotu *Prawdzic*, rozdzielił pomiędzy dwóch synów, nakazując im pod błogosławieństwem, aby z pokolenia w pokolenie zachowywali onę tradycyą, a ziemi się swej trzymali, dopóki stanie ich rodu.

— Jak zapowiedział nasz antenat, tak się też działo przez pięć pokoleń że Maciej Czeczotka zawsze siedział na Prawdzicach, a Wincenty na Czeczotce; wolno im było tylko wyzierać za te skały dla ożenku raz w życiu, lub czasu wojny: jakoż tak czynili, że zawsze jeden starszy z każdego szczepu pozostawał przy ziemi, reszta w świat się rozchodziła, dziewki za mąż, a chłopcy, gdzie który mógł, ot, naprzykład, jak ksiądz stryj, do zakonu.

Aż oto linia Prawdziców wygasła po mieczu na nieboszczyku Macieju, mężu jejmości, który pozostawił tylko jednę córkę, Zosię, schodząc bez męzkiego potomka.

-- Owoż widzisz, panie bracie, może to być pewnym prognostykiem, że już wam ta ziemia nie służy--przerwał p. Tomasz.

— Jak jest, tak jest, ale my jej służyć musimy, kiedy była taka wola przodka. Wprawdzie na nas zaczął się ów porządek kilku pokoleń urywać, bo i ja straciłem starszego syna, Wincentego, który miał tu po mnie zasiąść; chcąc to jakoś powetować, skoro oboje owdowieliśmy z panią Maciejową, a oboje byliśmy jeszcze dość czerstwi, proponowałem jejmości, abyśmy ze sobą ponowili związek małżeński, lecz się kobiecina temu oparła, nie chcąc robić krzywdy córce; a żem czuł do niej affekt gorący, a krew nie woda, więc z rady księdza stryja, jako *memento* przystojności, oddzieliliśmy się kolorami, jak to pan brat widzisz, a zamiast naszego związku, postanowiliśmy pożenić nasze dzieci, skoro wyrosną, bo już pomiędzy niemi niema pokrewieństwa, a niech się od nich nowy szczep Prawdziców Czeczotków poczyna, ale zawsze na Czeczotkach i Prawdzicach, jak to chcieli mieć ojcowie. Owoż masz, p. wojewoda, kiedy mu się tak spodobały nasze krzemienie, niech się sobie smakiem obejdzie, a ja przy mojej skromnej Czeczotce pozostanę — zakończył p. Wincenty stanowczo.

— Azaliż mądrze to jest, panie bracie, że, mając dobrą sposobność zamiany *czeczotki* na *orła*, trwasz przy niej tak uparcie, nie bacząc na polepszenie bytu dzieci?—perswadował p. Tomasz.

— Ba, lepszy jak to mówią, wróbel w ręku, niż

cietrzew na sęku. Widzisz, ja bo kocham tę moję Czeczotkę jak ptak swoje gniazdeczko, bo jako ptacy my je zbudowaliśmy i jak one ptaszyny od ojca do syna znosiliśmy na ten grunt skalisty ziarnko po ziarnku ziemi rodzajnej, aby ją użyźnić.... i jażbym tą krwawicą i potem ojców miał frymarczyć?—zakończył z siłą p. Wincenty.

— Do czego ci te sentymenta, panie bracie, które chleba nie dają. Użyznialiście tę ziemię, ona was wyżywiła, a teraz idźcie na inną, kiedy się okazya zdarza. Powiadam waszmości, ta wasza zapadnia tak się podobała samej wojewodzinie, iż ją mieć musi, bo to już taka w tej pani natura zacięta.... drzyjcie więc łyka, póki się dają, a już moja w tem głowa i affekt dla was braterski, że za waszą ziemię weźmiecie wtrójnasób co warta.

— Wdzięczen ci za dobrą chęć, bracie Tomaszu, o której nie wątpię, ale miej to sobie za ostatnie słowo, bo z gęby cholewy nie robię, że, gdyby mi wojewoda osypał całą tę przestrzeń złotem, dukat przy dukacie, to się z ziemi ojców nie ruszę, i jeżeli mnie kochasz, już mi o tem nie wspomnisz, a na dowód, że za rekuzę nie chowasz do mnie rankoru, każ wyprządz konie i wypijmy jeszcze na dobrą myśl, aby nasz affekt braterski nie stygnął.

Widocznie ta kordyalność gospodarza nie do smaku była gościowi, ale napozór przyjął ją chę-

tnie i we trzech z Bernardynem zasiedli przy miodku, gwarząc sobie o tem i owem, jak zazwyczaj; wszelako pan Tomasz przemyśliwał sobie. jakby zerwany gwałtownie wątek dawnej rozmowy nawiązać, lecz widząc, że mu się to jakoś nie klei, wziął na odwagę i rozpoczął:

— Owoż, panie bracie, najlepiej będzie tak pomówić prosto z mostu, bo to *clara pacta claros faciunt amicos*; radnierad muszę ci zwiastować nieprzyjemną nowinę, iż nad twoją ziemią, którą tak miłujesz, zawisła groźna sprawa graniczna.

— Sprawa graniczna, ze mną? Ja tylko graniczę z Bogiem, orłami i sępami. Kto mię pozwie o granicę? — wskazując na niebo. przerwał gwałtownie p. Wincenty.

— Wysłuchaj mię spokojnie, panie bracie— mitygował passyę gospodarza p. Tomasz—wszakże graniczysz z państwem krystynopolskiem.....

— To przecie nie ja, ale te skały, których nie używam i przodkowie moi nie używali; komuż tam mogłem worać się lub wkopać w miedzę, kiedy ręka tam ludzka od stworzenia świata niczego nie tknęła?

— Ale przeto na planach i dokumentach jest to własnością Czeczotków.

— Zapewne, iż to jest tam zapisano, temu nie przeczę,—ale co mi po tem!

— Są tam kopce graniczne od Krystynopola.

— Kiedyś jeszcze, zamłodu, lat temu ze czterdzieści, kiedym się zapędził za rogaczem tam, na jeden się z nich potknąłem.... Więc cóż ztąd?

— To, że owe kopce usypane są na gruntach krystynopolskich, a przez to odgraniczenie odpada od Czeczotki ziemi cudzej 1 mórg i prętów 8 miary chełmińskiej. Tak to stoi na naszych planach i mapach ekonomicznych.

— Ha! ha! panie bracie, czy kupisz czy o drogę pytasz? Czy tylko o to chodzi? Więc odmierzcie sobie z tych skał całych 10 morgów i 80 prętów. lub jeszcze i dziesięć razy tyle, ile zechcecie sobie. O cóż to chodziło, żeśmy sobie tyle krwi napsuli i prowadzili tak długie certacye? Tyle, mosanie, czasu straconego: wypijmyż za to na uspokojenie tych apprehensyi.

I tu p. Wincenty, wesół już i rozchmurzony, napełniał szklanice.

— Nie o to idzie, panie bracie—prawił p. Tomasz zakłopotany—ale według prawa, należy się kalkulacya za lat 207 *de asso et grano.*

— Co?!—wrzasnął pan Wincenty, zaperzony na nowo — a jakaż tam kalkullacya, jeżeli kto tam na wierzchołki tych skał od granicy krystynopolskiej rzucił jakie *granum*, to chyba ptacy: ich pozywajcie o kalkulacyą, bo od kiedy tu żyją Czeczotkowie, grzebią się sobie w tej oto kotlinie, która ze ćwierć mili odległa od granicy krysty-

nopolskiej. Spójrz sam na te wysokie skały i powiedz: czyli się tam kto komu worał lub wkopał w miedzę?

— Aż nadto pojmuję, bracie Wincenty. słuszność twoich argumentów, ale i ty chciej mię zrozumieć. Tak to, niestety, jest na świecie, że *dura lex sed lex*, i na ową kalkullacyą za lat 207 od kiedy tu Czeczotkowie siedzą. a owego morga. używają, mało dziesięciu takich fortun jak wasza

— A, teraz rozumiem!—wybuchnął gwałtownie p. Wincenty—na co tu obwijać w bawełnę? Jaśnie Wielmożnemu wojewodzie, który już ma tyle ziemi, że jej i przez dziesięć lat piechotą nie zejdziesz, zachciało się tej mojej mizeryi.

Obaczymy, co z tego będzie?—dodał bardziej gniewny, wskazując ręką na sterczące wieże zamku na skale — Ha? prawda, że Krystynopol wysoko, ale Pan Bóg na niebie jeszcze wyżej! I waśćto jako jurgieltnik swojego zacnego pana, okrywszy się w jego skórę [1]), dybiesz na własną krew, a prawem i sumieniem frymarczysz!

— Gdyby nie węzły braterstwa i przyjaźni nas

---

1) Alluzya do stroju p. Tomasza, złożonego z kolorów: żółtego z niebieskim, herbownych Potockich, których adherenci i przyjaciele tego domu używali nie była to wprawdzie dla szlachty trzymającej się tej klamki, barwa obowiązkowa, ale rodzaj pochlebstwa, zasadzający się na używaniu takzwanego: „przyjacielskiego munduru".

łączące, a gdybym nie baczył na twe ciężkie rozżalenie, nie puściłbym płazem tej mojej krzywdy; ale niech ci Bóg wybaczy jej niesłuszność. Nie przeczę, że jako jurysta żyję z prawa, a patronuję sprawom imci pana wojewody, ba, na czyim wozie jedziesz, tego pieśń śpiewaj; ale przeto jąłem się tej sprawy, aby waszmości wygodzić.

— Wydarciem rodzinnego gniazda i tej ojcowizny, milszej nad wszystko! A, dobry z waści brat i przyjaciel. Wolałbym waćpana mieć wrogiem—przerwał p. Wincenty z passyą i oburzeniem.

— Wrogiem panu bratu nigdy nie będę, a dowód tego najlepszy, że podjąłem się tej sprawy, acz z obowiązku, jednak pod warunkiem, że wojewoda skończy ją nietylko bez krzywdy, ale owszem z korzyścią waćpana Owoż, aby zakończyć tę smutną a gorszącą dysputę, wypowiem ostatnie słowo: imci pani Wojewodzinie tak się spodobało owo urwisko.....

— Komu urwisko to urwisko, a dla mnie to lepsze od wyniosłych pańskich pałaców — mruknął p. Wincenty gniewnie.

— Owoż powiadam—ciągnął dalej p. Tomasz— że p. wojewodzina uprojektowała sobie, że na rok przyszły, w dzień jej patronki, na św. Annę, to wszystko będzie przyłączone do ogrodów

krystynopolskich i tu się odbywać ma uroczysty obchód.

— A ja na św. Wincentego à Paulo, mego patrona, który na cały tydzień poprzedza św. Annę. chcę sobie potańcować na krystynopolskim zamku, i jeżeli zamierza pani wojewodzina wyrzucić mnie z siedziby ojców na d. 26 Lipca, czemużbym ja nie mógł chcieć tosamo jej sprawić o tydzień wprzódy na dziewiętnasty?—znów z gorzką ironią przerwał p. Wincenty.

—Czemuż-by to nie było możebnem, jeżeliś waszmość jest wstanie ofiarować stosunkowo tyle za Krystynopol, coć proponujemy za Czeczotkę, za którą, już w tem moja głowa, na co daję ci parol szlachecki Tomasza Setnickiego, patrona trybunałów koronnych, że za każdą morgę tych twoich krzemieni, damy ci tyleż ziemi ukraińskiej, i to gdzie sobie wybierzesz, lub *ad libitum* kapitał odpowiedni.

— Mój synaczku — ozwał się milczący dotąd Bernardyn—takiej świetnej krescytywy dla dzieci odrzucać się nie godzi, bo to jest dar boży, a i Pismo nas uczy, iż *quod Deus mihi dat non dimitto foras.*

—Księże stryju, wiecie, iż was szanuję jak ojca, ale przeto powiem waszmości, że i wy ciągniecie za wojewodą, za to, że wam piekny klasztor w Krystynopolu fundował, a karmi was i poi—

odparł nieco łagodniej p. Wincenty, przez wzgląd na wiek i charakter duchowny; lecz w tejże chwili, nie hamując się, wybuchnął z passyą do p. Tomasza:

— Powiedz-że waść swojemu panu ostatnie słowo, że gdyby mi dawał Królestwo Polskie i Wielkie Księztwo Litewskie, razem z tą koroną, do której się mizdrzy oddawna, to Czeczotka nie jest do sprzedania. Processujcie, sobie ile chcecie. na to wy macie trybunały, a ja Boga na niebie.... *dixi!*

— Panie bracie....—rozpoczynał nieśmiało pan Tomasz.

— Nie odzywaj się waszmość, z łaski swej, w tej materyi, bo nie chciałbym zapomnieć, żeś tu przyodzian w święty charakter gościa — powiedział, głosem drżącym od hamowanego gniewu, gospodarz.

—Zostawaj z Bogiem, panie bracie! Jedno o czem cię zapewniam, że ja w żadnym razie własnej ręki do tej sprawy nie przyłożę; lecz, jakie mogą być skutki, niech was od tego Bóg ochrania!

To powiedziawszy, skłonił się odwróconemu od siebie gospodarzowi, ucałował rękę księdza i odszedł, rozkazawszy, aby go konie po drodze napędziły.

I tak dwaj bracia, przyjaciele od dzieciństwa, rozstali się wrogami.

Wkrótce po wyjeździe p. Tomasza na spokojną od wieków Czeczotkę posypały się pozwy, a wślad za niemi zjeżdżały jedne po drugich kondescencye podkomorskie; komornicy i ziemiomiercy mierzyli skały, pisali protokóły i t. p. odbywali czynności, które Czeczotka za nic sobie ważył, powiadając opryskliwie, że:

„Krystynopol wysoko, ale Bóg jeszcze wyżej“, a wszelkie pretensye o pogwałcenie granicy, odsyłał do orłów i sępów, jedynych według niego, którzy tych skał używali, i na nich kazał poszukiwać kalkulacyi.

Zadługo byłoby nużyć czytelnika przebiegiem całej sprawy; dość obaczyć jej smutne skutki dla biednych mieszkańców cichego ustronia. Zapadł wreszcie wyrok prawomocny sądu podkomorskiego, przyznający pogwałcenie granicy i jako kalkulacyą za dwa przeszło wieki summę bajeczną, której Czeczotkowie, odkiedy istnieli, nawet nie przeliczyli.

Pan Wincenty, nie uznając zasady sprawy, a nie broniąc się, przegrał z kretesem. Nastąpiła exekucya wyroku, o którym ani słyszeć nie chciał i z miejsca nie ustępował, chociaż cała jego szczupła chudoba *in vim* kalkulacyi została przyznana stronie przeciwnej.

Jak wiadomo, w dawnej rzeczypospolitej exekucya wyroków nietyle polegała na sile, ile na ogólnej powadze i poszanowaniu prawa; sądy nie posiadały żadnych środków exekucyjnych, bo nawet milicye trybunalskie, tak zwane „brachium militare", zaledwie wystarczały do utrzymania porządku podczas trwania kadencyi. Ztąd-to wyjątki nieposłuszne prawu dobrze na tem wychodziły i magnaci mający swoję milicyą lub i szlachtę posiadającą wziętość, zebrawszy sobie jaki taki zastępik panów braci, sami dekret exekwowali lub sami się bronili; a jeżeli dotknięty wyrokiem był silniejszy, to potrafił go ominąć.

Czeczotka, odbierając pozwy podkomorskie z rokiem zawitym, aby z ziemi ustąpił, nabijał niemi ruśnicę, a strzelając do góry, mawiał:

— Macie orły i sępy! was to pozywają, brońcie się!

Tak-to się wówczas praktykowało: wojewoda przez swą nadworną milicyą, sam sobie wyrok exekwując, wioskę najechał; Czeczotka, nieuznający prawomocności wyroku, poczytując to za

gwałt, chciał siłę siłą odeprzeć, a zebrawszy kilkunastu swoich chłopaków, zbrojno wystąpił. Lecz *nec Hercules contra plures*: musiał uledz przemocy, a do tego nieborak guza schwytał, który go na łoże obalił.

Tragiczny, zaiste, był koniec: już z wiosną, ulegając fantazyi pańskiej, jałowe, niedostępne skały pokryły się tysiącem robotników. Jak biednego Czeczotkę, tak orły i sępy wypłoszono z odwiecznych siedlisk stukiem toporów i oskardów i hukiem skał wysadzanych prochem w powietrze.

Runął ów piękny dworek dwubarwny, odwieczna siedziba pokoju i pracy kilku pokoleń Czeczotków, a kiedy ostatni jego słupek padał pod siekierą przemocy, biedna pani Maciejowa padła bez czucia i Bóg jej oszczędził smutnego widoku dalszej ruiny.

Nie wiem jak dawno do dykcyonarza przysłowiów wciągnięto owo tak utarte *ce que femme veut Dieu le veut*, (czego chce białogłowa tego chce i Bóg), atoli widzi mi się, że, począwszy od matki Ewy, częstującej ojca Adama zakazanym owocem, istnieje to w zasadzie. Nadszedł tedy ów nieuchronny zapowiedziany siłą niewieściego kaprysu dzień Ś-ej Anny, a wszechmogące „fiat" potężnej solenizantki sprawiło cuda, o których prosty śmiertelnik śnić-by nawet nie śmiał.

Anibyś poznał owej skromnej Czeczotki, tak ją w krótkim czasie przeobraziła laska czarownika, *vulgo* mieszek pański. Spójrzmy na nią w danej chwili, kiedy całem życiem uroczystość zawrzała, a z nastaniem zmroku tysiące płonących beczek smolnych jakby zapaliły ze wszech stron skałę, aż się ptactwo leśne rozleciało, zdziwione i przerażone, nie zdając sobie sprawy, co się stało z ich cichem a spokojnem siedliskiem. Drzewa obwieszone różnobarwnemi lampkami zdawały się wydawać ogniste owoce. Na miejscu, gdzie ongi stał skromniuchny dworek, gniazdeczko kilku pokoleń Czeczotków, wznosiła się jakaś rotunda zbudowana z brzozy nieodartej z kory; a z otworów jej buchało światło, widniały przez nie stoły bogato zastawione, liczna służba galonowana oczekiwała przybycia gości, kapela stroiła instrumenta.

Ow potoczek, co tak cicho się toczył u stóp dworku, dziś się burzył kaskadami, szumiał, przeskakiwał kupy kamieni, odbijając w bystrych falach pozawieszane nad nim światła.

Chatki wieśniaków, miasto skromnych strzech słomianych, pokryły się gotyckiemi dachami przy wieżyczkach. Tu i ówdzie rozrzucono marmurowe posągi i grupy. Drzewa stare rosnące sięd y tędy, jak je przed wiekami ręka Stwórcy rzuciła,

ujęto w klomby i kazano im rosnąć według prawideł sztuki.

Na owej krętej i przepaścistej drożynie, gdzie niespełna przed rokiem mały wózek patrona z trudnością się przesuwał, szerokim gościńcem w skale wykutym, paradowała liczna kawalkata, złożona z kolas, karoc, a jezdnych, którychby skromna kotlinka przed pół rokiem nie była w stanie zmieścić. Za ukazaniem się kawalkaty nowa przybywała świetność; puszczono niezliczoną moc ogni sztucznych, przedstawiających słońca, gwiazdy, źwierzęta, słowem: to wszystko, co Bóg łaskaw stworzył dla magnackiej uciechy.

Trzeba wiedzieć, że pan wojewoda na imieniny ukochanej małżonki, której znaczną część swej iście królewskiej fortuny zawdzięczał, miał we zwyczaju rokrocznie wyprawiać niespodzianki i jak niosą kroniki zbytku, ta zabawa wyprawiona na Czeczotce wszelkie inne świetnością i wspaniałością, prześcignąć miała: dlatego dziś nie nam, karlikom wobec dawnej siły i potęgi antenatów, pokusić się o odmalowanie tego, jak-to oni umieli rozpraszać te skarby, które ich podupadłym potomkom, niestety, jakżeby się przydały!

Miała prawdziwe szczęście owa kapliczka Czeczotków na urwisku skały, otoczona cmentarzem, a poza nią skromna chatka księdza stryja (które wyżej opisaliśmy), że sama przez się przedstawiała malowniczy widok, i dlatego ręka sztucznego przeobraziciela skromnej wioski w pyszne ogrody pozostawiła wyjątkowo tę część skały nietkniętą. Nawet ornamenta samego festynu skąpo ją udarowały, gdyż tylko dokoła cmentarzyka kilka smolnych beczek rozpalono, pozostawiając tę część urwiska w malowniczym półcieniu.

Podczas kiedy ucztują i weselą się panowie otoczeni pochlebstwem dworaków, na którem nigdy złotym cielcom nie zbraknie — zajrzyjmy do domku Bernardyna pod cmentarzem.

Chatka ta na wyniosłym pagórku sama przez się stanowiła malowniczy widok, czemu zapewne zawdzięczała, iż nie przekształcono jej dla ogólnej symetryi przepychu w jakąś altanę i nie upstrzono sztuczną ozdobą. Poza żywym pło-

tem z dzikiego powoju, kwitł piękny ogródek, staraniem zakonnika rozmaitemi krzewami ubarwiony, w cieniu gęstym zaś drzew przy kilku ulach pracowite pszczoły brzęczały; we wszystkiem widniała umiejętnej i gospodarnej ręki opieka, przy wzorowej czystości i porządku.

W środku ogródka domek szczupły składał się z dwóch izb, przedzielonych niewielką sienią; jedna z nich stanowiła pracownię zakonnika, który na chwałę bożą wosk własnej pasieczki na świece kościelne dla swego konwentu przetapiał; druga izba, o jednem oknie, nakształt celi mniszej, posiadała to ubóstwo reguły zakonnej, którą jej mieszkaniec, choć oddalony od klasztoru, ściśle zachowywał, sprzęt swój ubogi do tej surowości ascetycznej zastosowując.

Niemal połowę izdebki zajmowało skromne łoże, na którem obecnie spoczywał Wincenty Czeczotka; z silnego, w pełni życia, a rzeźwego męża, jakim go przed niedawnym czasem poznaliśmy, stał się starcem zgrzybiałym i bezwładnym, zaledwie od czasu do czasu jakiś ruch gorączkowy, poruszający konwulsyjnie bezsilnem ciałem, dawał znak uchodzącego życia. Bladość śmiertelna osiadła na tem, doniedawna jeszcze rumianem i czerstwem obliczu, a białe szmaty obwiązujące jego skaleczoną głowę, jako pamiątka świeżej

exekucyi wyroku, nie wyróżniały się od trupiej białości twarzy.

Przy głowach starca siedziała Zosia w żałobnych szatach; żywe jej oczęta, zaczerwienione płaczem, mroczyła teraz łza skrzepła, usta z których uśmiech ustąpił wyrazem się bólu skrzywiły; utkwiwszy wzrok w obraz święty nad łożem zawieszony, jakby ztamtąd czerpać chciała pociechę, której już zbrakło na ziemi, gałązką odpędzała owady od głowy chorego.

W nogach siedział Justek, a zakrywszy twarz rękoma, był nieruchomy jak posąg, tylko niekiedy stłumione łkanie w ruch tę niemą postać wprawiało. W kącie, obok pulpitu kościelnego klęczał mnich i przy żółtej jarzącej świecy odmawiał pacierze z brewiarza, przerywając zatopienie swe w modlitwie spojrzeniami na łoże, ilekroć się chory mocniej na niem poruszył.

Wchodzimy właśnie do izdebki, kiedy kawalkatę godową, spuszczającą się z góry, witano salwami fajerwerków i głośnemi strzałami. Na każdy odgłos wystrzału chory, rzucając się gorączkowo na łożu, majaczył:

— Oho! wojna już biją się, a my w domu. Justku, siodłaj konie, czyść broń,—wyruszajmy!

Zakonnik, powstawszy z klęcznika, zbliżył się do chorego, a kładąc znak krzyża na jego schorzałem czole, uspakajał:

— Bóg z tobą, mój synu, to przywidzenie... ot: lepiej możebyśmy się pomodlili, razem, niéma przecie żadnej wojny...

— Niéma wojny? — spytał chory osłabionym głosem, z prostotą dziecka przyjmującego starszych perswazye.

— A czemuż strzelają tak gęsto, kiedy niéma wojny? — powtórzył zapytanie po chwili.

— To jacyś myśliwi — odparł zakonnik, niechcąc wyjawieniem prawdziwego celu strzałów przywodzić na pamięć choremu smutnej rzeczywistości, która go na łoże powaliła.

— Może się pomodlimy: to cię uspokoi i pokrzepi — dodał mnich po chwili.

— Dobrze ojcze, odmówmy litanią o szczęśliwą śmierć — odpowiedział chory uspokojony.

Bernardyn ukląkł nanowo przy klęczniku, Justek obok niego i drżącym głosem rozpoczął żądaną litanią; chory. oparłszy się na poduszkach, które Zosia podtrzymywała, słabym głosem odpowiadał księdzu razem z innymi.

Nim się modlitwa ukończyła, fajerwerki tymczasem ustały a z niemi i huk strzałów; chory, nietylko się uspokoił, ale nawet oprzytomniał, a zażywszy kordyału, który mu zakonnik, jako jedyny lekarz preparował—ozwał się nieco pewniejszym głosem:

— Mój ojcze, czemu to Tomasz nie przybywa?

Mnie już tu nie długo, a chciałbym się z nim widzieć, bo ostatnim razem rozstaliśmy się nie pobratersku, byłem względem niego niesprawiedliwym, chociaż teraz dowodnie się przekonywam, iż on poczciwiec nie miał żadnego udziału w tem naszem prześladowaniu, a nadto jeszcze sam cierpiał... nim stanę przed Bogiem, chciałbym się mu submittować i przejednać go... czemuż nie przybywa, kiedy mi już tak niedługo?

— Bóg łaskaw, mój synu—uspakajał mnich—Tomasz zawiadomił, że dziś jeszcze do nas zawita, tylko go patrzeć.

Zaledwie tych słów domawiał, skrzypnęły drzwi, a w nich ukazał się gość oczekiwany. Pan Tomasz widocznie nie należał do grona ucztujących, był bowiem ubrany w podróżną kapotę, nawet zapylony, widocznie, iż świeżo z dalekiej drogi przybywał.

Na widok pożądanego gościa nawpół martwe już oblicze rozjaśniło się, ożywiło radością, chory o własnych siłach podjął się na łożu, a tak rzeźwo, iż w przytomnych wstąpiła utracona już nadzieja.

Obadwaj bracia z płaczem padli sobie w ramiona i trzymali się w długim uścisku, poczem chory, usuwając się do ściany, wskazał przybyłemu miejsce na łożu przy sobie, i rzekł:

— Siadaj-że, drogi bracie, tu przy mnie, bo czas

krótki, a tyle mamy do pomówienia... Słusznie powiadał ksiądz stryj, że Bóg łaskaw, kiedy mi ciebie zesłał, a ja grzeszny zwątpiłem o jego wielkiem miłosierdziu, myśląc, iż tu się nie obaczymy i że mi nie odpuścisz moich względem ciebie przewinień...

— Niéma tam o czem mówić, panie bracie, Bóg łaskaw zachowa nam ciebie na pociechę i wszystko będzie dobrze — odparł Tomasz, siląc się na wstrzymanie łez, które mu się czuć w głosie dawały.

— Jam nie dzisiejszy, mój bracie, a dzieckiem nie jestem, abym się łudził płonną nadzieją. Pan powołuje: stawić się trzeba, a zresztą i pani siostrze Maciejowej może tam tęskno do mnie; nie ma komu biedaczka kontrować na tamtym świecie, poczciwe kobiecisko.

Tak prawił chory, uśmiechnięty, ten zaś odbłysk dobrego humoru pocieszył i uspokoił przytomnych, tak, iż ksiądz stryj ozwał się wesoło:

— A tak, to lubię, mój synu, bo to nawet Pedemontanus powiada, że siła ducha jest najdzielniejszym zwycięźcą choroby.

— Ot, wiecie co, ojcze stryju, gdybyście nam z panem bratem dali po lampce waszego miodku z zielonego butla, wypilibyśmy na zdrowie pana brata, żeby nie chował ku mnie rankoru, a zresztą i strzemienne mi się należy, jako odchodzą-

cemu. Dobrze, panie bracie, żeś przybył i wielka łaska Boga na mnie niegodnego, iż cię zesłał, bo mnie ksiądz stryj pojednał już z Bogiem, a szczęśliwszy i spokojniejszy odejdę, wiedząc, że ku mnie nie chowasz zawziątku.

Tymczasem zakonnik z szafki w ścianę wmurowanej wydobył zapleśniałą flaszę i w lampki ponalewał. Cmotkając sobie szlachetny trunek, weselili się społem, jakby tu wistocie wszystko szło ku życiu, ale nie smutnemu końcowi; gwarzyli sobie swobodnie o tem o owem, radzi, iż myśli smutne chorego rozerwali, gdy wtem ozwie się Czeczotka:

— Niech ci Bóg nagrodzi, miły bracie, iżeś jest łaskaw na mnie; ale skoro już mnie nie stanie, bądź-że miłościw i na moje sieroty, po Bogu poruczam ich twojej zacnej opiece.

— Wszystko to w ręku Boga, i jeżeli stać się ma, iż cię przeżyję, dzieci wasze znajdą we mnie podporę i życzliwe serce, a wszystkiemi siłami postaram się być im pomocnym... Aliści, jeżeli już nieuniknione są wyroki boskie, jak twój presentyment wskazuje, o los dzieci bądź już spokojnym: jak to mówią, będą miały o co ręce zaczepić.

Po tym wstępie, dobywając papier z zanadrza, prawił dalej:

— Chociaż, jak ci wiadomo, zrzekłem się promowania spraw wojewody...

— Co właśnie mam na sumieniu, gdyż uczyniłeś tak, nie chcąc występować przeciwko mnie. lubo nie miałbym ci tego za złe, ale zawsze mimowoli pozbawiłem cię dobrej kondycyi — przerwał mu chory.

— Ej, oto mniejsza: „kogo Bóg stworzył tego nie umorzył”, a zresztą, czy to mnie dzieci obsiadły? Dam sobie radę i bez tego, a nakoniec była to moja fantazya... Ale wracam do rzeczy ważniejszej, i jeżeliś mnie zaszczycił panie bracie, zaufaniem, powierzając na wypadek opiekę nad dziećmi, to ci zwiastuję, że mam tu dla nich gotową fortunę: chociaż, jak ci wiadomo, rozstałem się z wojewodą, nie chcąc sprawy przeciw tobie prowadzić, jednak zachowałem na nim pewne wpływy, wskutek czego pan wojewoda, chociaż z uporu i fantazyi pańskiej na swojem postawił, ale nie chcąc obciążać sumienia cudzą krzywdą, zachowując przy sobie wioskę od was wygraną, ofiaruje wam, jak to za sprzedaż proponowałem, więcej niż potrójną cenę: i oto jest kwit do kassy krystynopolskiej na sto tysięcy.

Chory wziął papier w drżące ręce i konwulsyjnie poszarpał go na szmaty.

— Na miły Bóg, co czynisz panie bracie?—za-

wołał prawnik napróżno, chcąc zapobiedz dokonanemu w oka mgnieniu czynowi.

— Nie przyjmuję jałmużny pańskiej, po którą żaden Czeczotka ręki nie wyciągał—odparł chory z poważnym spokojem.

— Przecie to nie jałmużna, ale restytucya — rzekł Tomasz.

— Jakiem prawem, synu, spodziewając się stanąć przed Bogiem, niszczysz dobro twoich dzieci? —przemówił surowo zakonnik.

— Dobro niezapracowane nie jest mieniem, mój ojcze, ale jałmużną, której mającemu zdrowe ręce używać się nie godzi; zabraniam tedy mojemu synowi tknąć tych pieniędzy, a jeżeli go prawo wywłaszczyło z siedziby ojców, oczywiście ta do niego nie należy, zatem i pieniądze te są jałmużną.

— Ej, panie bracie — odparł Tomasz — niewczesna ta wasza drażliwość! Panom wolno mieć swoje fantazye, a skoro za nie płacą, można je tolerować.

— A szlachcie nie można mieć swojej?—prawił z goryczą chory — A moja fantazya taka, żeby krzywdę ofiarować Bogu za grzechy, a jałmużny nie przyjmować.

A zwracając się do syna klęczącego przy łożu i kładąc mu rękę na głowie, mówił uroczyście:

— Pod klątwą zabraniam ci, synu, tknąć tych pieniędzy. Jeżeli prawo będzie dla ciebie sprawiedliwszem niż dla mnie, staraj się odzyskać dziedzictwo ojców i zachowaj je jak pięć naszych pokoleń chowało.

— Opamiętaj się, panie bracie. Chorobliwa to irytacya mówi przez ciebie, a powiedz sam: z czemże dzieci wasze w świat pójdą? — perswadował patron.

— Nie irrytacya to przemawia, ale równość szlachecka, której pozbywamy się przez zbytnie uleganie panom—mówił chory słabnącym głosem, a dalej zwracając się do syna, kończył rzecz rozpoczętą:

— Już mi niedługo... Posłuchaj, synu, ostatniej mej woli. Pod poduszką znajdziesz 170 czerwonych złotych; jest to oszczędność pięciu naszych pokoleń z tej mizeryi, którą nam wydarto. To dla ciebie i Zosi. Wiesz, żeście przeznaczeni dla siebie, ale nie poślubisz jej, aż na ziemi ojców, aż wrócisz i odbudujesz domek nasz dawny na Czeczotce; tymczasem będziesz jej opiekunem i uszanujesz...

Chory zakrztusił się silnie, głowa mu opadła z poduszek i nie domówił reszty. Patron chwycił go w ramiona, zakonnik pośpieszył z kordyałem, ale już się go nie dotrzeźwili. O. Hugon zawarł mu tylko oczy, przeżegnał zastygłe czoło, a klęka-

jąc przy pulpicie, ozwał się poważnie do przytomnych:

— Pomódlmy się za spokój tej znękanej duszy.

A działo się to nadranem, kiedy, wybawiwszy się dowoli, kawalkata szumnie na zamek wracała.

I znów, dla zwięzłości opowiadania, przeskoczymy kawał czasu. Rok zaledwie minął od śmierci starego Czeczotki, kiedy na plebanijce pod cmentarzem dwoje młodych przy temsamem łożu modliło się za duszę starego zakonnnika, który, oddawszy ostatnią posługę synowcowi, wysilony wiekiem i pracą, zajął był jego miejsce na łożu boleści.

Justek z Zosią sami pozostali w domku pod cmentarzem; pogrzebawszy z poczciwością zwłoki księdza dziadka na rodzinnej niegdyś ziemi, obejrzeli się dokoła siebie, iż sami byli na świecie.

Dotąd podczas choroby zakonnika wszystko tu szło dawnym trybem: młodzi uprawiali skromny ogródek i niewielki szmat pola należący do plebanii, utrzymywali małą pasiekę, a co mieli na miejscu starczyło na skromne ich wyżywienie, do którego Jaś dostarczał zwierzyny, jako biegły myśliwy.

Nikt-by ich nie rugował z tej skromnej sie-

dzibki, bowiem ona Czeczotka, będąca kaprysem pańskim, przeminęła, jak wszystkie w tym rodzaju i na coś się nowego przeniosła; tymczasem zaś strumień górski ujęty w karby, pozrywał kamienie i tamy, powywracał wątłe budynki na chwile zabawy niemałym kosztem wzniesione, drogi kute w skale zasypał pisek, z klombów starannie ułożonych powyrywał drzewa: słowem, zaszło tam spustoszenie i ruina się stała, o którą nikt nie dbał, jak o wyrzuconą pestkę spożytego owocu, a na krystynopolskim zamku już inną jakowąś niespodzianką powitano następną solenizacyą pani, a zapomniano czy była na świecie jakaś Czeczotka, dla zdobycia której tyle gwałtów spełniono, zapieczętowanych śmiercią dwojga dawnych spokojnych właścicieli. Nikt więc nie pomyślał czy istnieją owe skały, po których dziś samotny potok się staczał; a że kilku chłopków wyniosło się z opuszczonego ustronia, szukając żyźniejszego gruntu, nikomu na myśl nie przyszło, że tam obok cmentarza schroniło się dwoje młodych, zaledwie wstępujących w życie.

Po śmierci księdza dziadka, chociaż obejrzeli się młodzi, iż sami zostali, ale nieświadomi świata, nie wiedzieli dokąd iść mają, co ze sobą począć?—a nie przedsiębiorąc żadnych zamysłów pozostali tu, z dnia na dzień, troskając się tylko około skromnego wyżywienia; jak dotąd uprawia-

li mały ogródek zakonnika, doglądali pasieki, pracowali na małym zagoniku plebanowego pola nie myśląc więcej o jutrze, zapomnieli, czy jest świat jaki poza temi skałami.

Tymczasem pan Tomasz, wiecznie na wózku uganiający się za rozmaitemi sprawami, w parę miesięcy po śmierci O. Hugona, dowiedziawszy się o niej, zawitał do domku pod cmentarzem.

— A cóż wy, dzieci, dalej zamyślacie ze sobą zrobić?—spytał młodych, rozejrzawszy się w tem ich dziwnem gospodarstwie.

— Jakto, co dalej myśleć mamy, panie wuju?— odpowiedział Justek zadziwiony pytaniem, nie pojąwszy tej argumentacyi — nikt nas ztąd nie ruguje, bo te skały tak dla biednych rodziców fatalne, nikomu już niepotrzebne, a ta szczupła zagródka aż zanadto wystarcza na nasze skromne potrzeby. Ot pracujemy i tyle.

— Ależ sama przyzwoitość, konsyderacye światowe... Obojeście młodzi—prawił patron z perswazyą — to odosobienie mogą słusznie ludzie potępiać.

— A cóż mamy począć? gdzie się podziać? Zresztą o mnie mniejsza, ale Zosia, której jedynym opiekunem jestem na świecie... Cóż tu do potępienia, że brat z siostrą razem mieszkają? — odpowiedział Justek naiwnie wsparty czystością swoich zamiarów.

— Tak, teraz niema w tem nic złego, jednak mój chłopcze pamiętaj, że rodzeństwem nie jesteście, ale tylko stryjcami herbownymi, a krew nie woda i zawsze przez to sława dobra dziewczyny naraża się na obmowę... przecie z woli rodziców macie się pobrać...

Na te słowa patrona oboje młodzi, zapłonieni pierwszy raz w życiu, spojrzeli w głąb' przepaści, nad którą los ich postawił, a Justek, spoglądając miłośnie na zarumienioną towarzyszkę, mówił:

— Dziś stanęlibyśmy u ołtarza, gdyby nie święta dla mnie wola ojcowa, ażebym naprzód wrócił do Czeczotki.

— Niech będzie co chce, a ja się z Justkiem nie rozstanę, pójdę za nim na kraj świata, chociażby mnie odpędził od siebie — mówiła dziewczyna z miną rozkapryszonego dziecka.

Uśmiechnął się patron w duchu i tak prawił:

— Owóż to wynalazłem dla was takie *justum medium*, iż, nie rozstając się sobą, możecie być razem w takiem otoczeniu, iż wasze zbliżenie nie będzie nagannem...

— Drogi panie wuju, ale się nie rozstaniemy?— przerwała uradowana dziewczyna całując patrona w rękę.

— Zawsze to szkoda będzie tego kącika, za-

wsze tu choć kęsek ojcowizny — dodał Justek smutnie.

— Miejżeż rozum, mój chłopcze! Chcesz się ożenić z Zosią, szanując przy tem ostatnią wolę ojca — coć się chwali; lecz sam powiedz, czyli siedząc tu pod cmentarzem do końca życia, znajdziesz okazyą odzyskania Czeczotki i odbudowania dworku ojca? Musisz koniecznie wyjrzeć na świat, rozpatrzyć się między ludźmi i dopiero...

— Tylko nie sam, lecz ze mną razem — przerwała płaczliwie Zosia.

— Mówcież tedy, panie wuju, gdzież to mamy iść i co przedsiębrać? — pytał z rezygnacyą.

— Pan wojewoda chce was oboje wziąć na swój dwór — odparł krótko patron.

— Który pan wojewoda?—spytał zaciekawiony Justek.

— Pan wojewoda kijowski...

— My z Zosią do Krystynopola, zkąd spadło nieszczęście na nas, śmierć na naszych rodziców?! —zawołał Justek z oburzeniem.

— Hamuj, chłopcze, ów ferwor niewczesny — gromił surowy patron — bo i cóż w rzeczy w tem nagannego? Idziecie między ludzi oboje z Zosią, odrazu osiągniecie to, o co siła innych napróżno się stara, otrzecie się w świecie, zapewnicie sobie przyszłość: a kto wie, może się tam zdarzy

dobra okazya odzyskania tej ziemi, o którą już wojewoda nie dba, jak sami widzicie, ale trzyma z fantazyi i *pro decorum*, bo się o nią processował?

— Cóżbyśmy tam robili oboje na dworze wojewody? — spytała naiwnie Zosia.

— Justek byłby dworzaninem wojewody, a ty, Zosiu, panną przy wojewodzinie — odparł patron.

— Ach! na wielkim dworze jak to musi być pięknie!—zawołała Zosia z zaiskrzonemi oczyma, klasnąwszy w dłonie, a przymilając się do towarzysza:

— Justku, jeżeli tylko nie mamy się rozłączyć, czemużby nie posłuchać pana wuja? — dodała z zalotnością, naiwnie odgrywając rolę kusicielki, jak matka Ewa przed pierwszym rodzicem.

— Ale cóżby, panie wuju, nieboszczyk ojciec na to powiedział, że my na dworze wojewody? — opponował już nieco słabiej Justek.

— Ojciec powierzył mi nad wami opiekę, w tej niezawodnie będąc konwikcyi, iż wam nic złego nie doradzę, coby ujmę waszej czci przynosiło, a jeszcze i to dodam, iż gdyby żył brat Wincenty nie pochwalałby waszego osamotnienia.

— Zawsze jest to łaska, której nam od pana wojewody przyjmować się nie godzi, już przez

sam wzgląd — rozpoczął coraz słabszą oppozycyą Justek, lecz mu przerwał patron.

— Co za łaska? nie łaska, lecz służba, mój chłopcze, która nikogo nie krzywdzi. Sam powiedz, czy podobna, aby młodzian dojrzały pod wąsem, spędzał młodość na doglądaniu pasieki i ogródka Bernardyna?... Jeżeli chcesz dojść do czegoś, a przyszłość Zosi zapewnić, trzeba się otrzeć pomiędzy ludźmi, poznać świat... A co do łaski, taką samą wyświadczysz p. wojewodzie, jak on tobie: ty dasz mu pracę, on tobie wyżywienie, łaski zaś żadnej po niczyjej stronie nie będzie—kto zaś wie na co się to jeszcze przyda? Przecie i ja mu służyłem, co mnie wcale nie krzywdzi, a korona mi z głowy nie spadła.

CZĘŚĆ DRUGA

Na dworze wojewodziny.

Nie wszystkie monarsze dwory mogły się pochwalić takim przepychem i bogactwem. jak swojego czasu Dwór Krystynopolski, bo i w rzeczy samej czegoż tam nie dostawało. chyba jak to mówią: „ptasiego mleka” Własna milicya z 3,000 ludzi. paradnie wysztyftowana, z artyleryą i konnicą, kozacy humańscy, których kolejno po 300 przybywało na stójkę,—wszystko to jak z igły wymustrowane i sprawne. Ażeby jakietakie dać pojęcie o liczebności dworu Potockich, dość powiedzieć za świadectwem spółczesnych. iż dwór ten codziennie spożywał po kilka wołów tuczonych.

Okrom milicyi i służby niższej dwór mieścił jeszcze po kilkudziesięciu dworzan ze szlachty i tyleż fraucymeru z dziewek szlacheckich; ci rekrutowali się nietylko ze szlachty uboższej, ale nawet karmazyni i senatorowie o ten zaszczyt dla swych dzieci dobijali się: i nie dziw, bo prócz tego, że młodzież obojej płci nabywała tam ogłady i światowego poloru, ale nadto chłopiec miał

zapewnioną promocyą w świecie, a jeżeli się panu umiał zasłużyć, to przy jego łasce dochodził do krescytywy; dziewka zaś znajdowała dobre postanowienie w małżeństwie, a przy szczęściu i protekcyi pańskiej, nietylko za prostego szlachcica, ale i za karmazyna, wyjść mogła.

Nie dziw więc, iż się garnęli do tego dworu, a dostęp doń bywał trudny. Ciekawa tedy rzecz, wiedzieć, w jaki sposób pan Tomasz wziął się do tego, ażeby, przezwyciężając one trudności, biednym sierotom swojego krewniaka, Justkowi i Zosi, bez parenteli i protekcyi, akces do świetnego dworu ułatwić?

Przebiegły prawnik zręcznie wziął się do rzeczy, a czas potemu obrał sposobny, bo przedsejmowy; potrafił skorzystać z okazyi, aby na rzecz sierot poruszyć strunę *magnackiej popularności.* Zbliżał się sejm, na którym takiemu magnatowi, jak wojewoda, wichrzącemu *in materiis status*, wiele zależało: trzeba było śpieszyć z zatarciem rozmaitych kondemnatek, pomiędzy któremi sprawa dość krzycząca z Czeczotkami trzymała niepoślednie miejsce—ulokowanie zaś na dworze Justka i Zosi zamykało niechętne gęby, kiedy tymczasem adherenci gardłowali:

„*Dobry pan!* przygarnął do swojego dworu sieroty szlachcica, który mu się opponował i okoniem stawił.”

Lecz jeszcze nie na tem koniec, aby się dostać do dworu; dostawszy się bowiem, trzeba było przechodzić rozmaite gradacye i szczeble tej drabiny dworskiej, jakiemi np. dla dziewcząt były: szwalnia, haftarnia, gotowalnia, garderoba, zanim się można było wydostać na najwyższy szczyt panny pokojowej czyli respektowej—do czego bezwarunkowo wymagano pięknej powierzchowności, gładkich manier, dobrej prezencyi i wielu t. p. zalet. Dlatego dziewczęta, nim doszły do tego najwyższego szczebla, musiały się wprzód kształcić w manierach, konwersacyi, tańcu, a mające zdolności potemu, w muzyce i śpiewie, grywały na gitarze, cytrze, harfie, niektóre nawet na klawikordzie, mniej jeszcze rozpowszechnionym podówczas.

Tożsamo stosunkowo obserwowało się co do dworzan. Odbywali oni wprzód nowicyat przy łowach, w milicyi, kancelaryach, nim się dostali na pokoje; musieli wprzód wyćwiczyć się w fechtunku, konnej jeździe, tańcu, a nabrać zręczności w różnych kawalerskich praktykach.

Nasi młodzi byli pod tym względem szczęśliwszymi; wyjątkowy bowiem powód przyjęcia ich do dworu dla oka ludzkiego i popularności pańskiej sprawił to, iż oboje, przeskakując szczeble hierarchii dworskiej, odrazu się na pokojach znaleźli.

Wszakże dla Justka i Zosi pominięcie onego dworskiego nowicyatu nie przedstawiało trudności, albowiem, oprócz protekcyi wuja Tomasza, sami się doskonale zalecali.

Justek był zwinny i zręczny z natury; od dzieciństwa harcując po górach z dzikiemi kozami, rozwinął siłę muskularną; a w collegium, bijąc się w palcaty, rychło się w fechtunku wydoskonalił, do konia jakby przyrósł, a nakoniec, jako celujący uczeń poetyki, umiał z każdym stosowny dyskurs poprowadzić, w razie zaś potrzeby z księdzem lub jurystą wyjęzyczyć się i połacinie.

O Zosi dość powiedzieć, iż Bóg jej dał tyle w niepospolitej krasie i gładkości, iż mało co od ludzi przejmować potrzebowała, a już od pierwszego dnia zjawienia się na dworze ściągnęła na siebie admiracyą całej płci męzkiej i zawiść niewieściej.

Wszakże pomimo łaski pańskiej i przychylności całego dworu, jakie przez krótki pobyt młodzi zjednać sobie potrafili, smutno im było na tym wielkim dworze, bo chociaż znajdowali się oboje pod jednym dachem, utracili jednak dawną swobodę ciągłego ze sobą przebywania, czemu rygor zachowywany na dworze wręcz się sprzeciwiał. Samo urządzenie dworu nie sprzyjało temu przyzwyczajeniu, gdyż gwoli przystojności, jakiej tam przestrzegano, cała przestrzeń długiego pałacu

oddzielała dworzan od fraucymeru, bo gdy pierwsi mieścili się na jednem skrzydle, pod wyłącznemi rozkazami marszałka dworu, którym był pan Stolnik Złoczowski Beržański, fraucymer zupełnie na przeciwnym końcu znajdował się pod zawiadywaniem ochmistrzyni, panny wojszczanki Jawgiełówny, już dobrze podeszłej w lata dziewicy.

Jak tam, tak i tu *decorum* ściśle było zachowywane; zresztą sam porządek codzienny wszelkiemu zetknięciu się dworzan z fraucymerem stał na przeszkodzie: dworzanie, krom dyżurowania na pokojach, dzień cały byli zajęci rozmaicie, z samego rana koniecznym exercyrunkiem, czy-to konnym czy pieszym z milicyą, następnie fechtunkiem, rajtszulą, nauką tańca; uzdolnieni ku temu pracowali w kancellaryach ekonomicznych i u rachmistrzów.

Panny, oprócz obowiązkowych lekcyi tańca i muzyki, uczyły się robótek kobiecych i haftu; na wytchnienie zabawiały się przy ochmistrzyni czytaniem ksiąg pobożnych i moralnych; dla ruchu miały osobny ogródek, wysoko i szczelnie oparkaniony, do którego nietylko dostęp, ale i zbliženie się było surowo wzbronione dworzanom pod karą.

Ale kiedy się o karach zmówiło, więc warto nadmienić, że wszelkie przekroczenia przeciw

moralności i przystojeństwu w zachowaniu się względem płci innej sprowadzało na dworzan bez ceremonii karę *more antiquo, na kobiercu*... panienki zaś, jako płeć pieszczona, ulegały postom, zamknięciu, rekollekcyom, wdziewaniu bluzy z szarego płótna, a nakoniec mortyfikacyi pobożnej, której najwięcej się obawiały: odmawiania dziesięciu części różańca, godzinek, litanii, w przytomności pobożnej ochmistrzyni, podczas tego klęczeć musiały na grochu.

Surowość klauzury i kar sprawiła to, iż, od kiedy dwór dworem, o żadnym skandaliku pomiędzy dworzanami i fraucymerem myśl nawet nie powstała. Jak jedni, tak i drugie co dzień obowiązkowo słuchały Mszy św., lecz panienki w pałacowej kaplicy, a chłopcy w kościele OO. Bernardynów. Jedyne zbliżenie się miało miejsce w Niedziele i uroczystości, kiedy państwo w otoczeniu dworu przybywali na nabożeństwo paradnie do kościoła OO. Bernardynów; ale i wtedy ściśle przestrzegano, aby dworzanie i panny stawali po dwu przeciwnych stronach; każde zaś najniewinniejsze rzucenie okiem, w lot schwytane przez czujnych cerberów, marszałka i ochmistrzynię, sprowadzało, co komu należało, *kobierzec* lub *groch*.

Ztąd się zdarzało, iż często, po kilkunastu latach przebytych na jednym dworze panny z dworzanami byli sobie zupełnie obcymi. Jedynym

punktem zetknięcia się były assamble na pokojach za przybyciem gości, tańce popisowe razem wykonywane, przy których jeszcze konwersacya była wzbronioną, lub wspólny dyżur dworzanina przy panu, a panny przy pani, kiedy razem z państwem zasiadali do stołu; lecz i tu argusowe oczy wszędzie rygoru i przystojności przestrzegały.

Wyjątkowy ratunek z osamotnienia dwojga młodych, Justka i Zosi, był w owych dyżurach, które im jednocześnie przypadały—czy to dlatego, iż razem na dwór przybyli, czy może z protekcyi patrona, który, chociaż teraz jedynie sprawy trybunalskie wojewody prowadził, jednak swoję influencyą na dworze zachował, i z łaski tej Justek z Zosią mogli niekiedy oględnie spojrzenie lub słówko zamienić. Nie wystarczało to może swobodnym dzieciom natury i prostym skał mieszkańcom, ciążyła owa dworska etykieta; atoli „wiele ten czyni, kto musi“, a z czemże się człek nie oswaja?

Wszakże bożek miłości czuwał snadź nad rozmiłowanymi, bo i rok nie minął od pobytu ich na dworze, kiedy na jednej z uroczystości dworskich Justek z Zosią przed licznie zebraną kompanią produkując się w jakimś tańcu salonowym, ogólny applauz uzyskali; nadto Zosia niepospolitą krasą zdobyła ogólną admiracyą; dostojniejsze matrony udarowały ją precyozami, sama pani dała jej piękne stroje ze swej szatni, a Justek dostał od wojewody pas perski i sto czerwonych złotych.

Trudno dziś rozwiązać pytanie: czemu zawdzięczali młodzi taki rychły sukces i łaskę pańską? — czyli własnej zręczności i nieporównanym wdziękom Zosi? lub może, iż gwałt, dokonany na starym Czeczotce, ciężył państwu na sumieniu, a w przedsejmowej porze i wobec ciężkiej choroby panującego króla, tając rozmaite ambitne widoki, chcieli go w pamięci szlacheckiej jako tako zasmarować? najprędzej i jedno i drugie; ale koniec na tem,

że młodzi z tego skorzystali, bo Justek został rękodajnym wojewodziny, a Zosia tak zwaną „panną kompanką“.

Dwa to były najwyższe stopnie do osiągnięcia dla młodych ludzi: rękodajny bowiem z urzędu swojego był nieodstępny od pani, powinnością jego było być na pokojach na każde zawołanie, a w razie wyjazdu pani w paradnym stroju jechał konno przy kolebce, a nim się ona zatrzymała, musiał zręcznie zeskoczyć z konia, którego jadący za nim hajduk chwytał, i podać ramię, żeby się pani ua niem wsparła, wysiadając; musiał również dawać baczenie, żeby suknia lub trzewik nie zawalały się o brudny stopień kolebki; w kościele, kiedy pani przyklękała dla adoracyi Najśw. Sakramentu, on miał zręcznie podrzucić poduszkę; w ławce rozłożyć bogatą książkę od nabożeństwa na stosownej modlitwie—słowem, wszystkich wygód i przyzwyczajeń pani ściśle przestrzegać. Już ze swojego stanowiska taki rękodajny wychodził z bezpośredniej władzy marszałka, sam niejako będąc zbliżoną do dworskiego słońca figurą.

Sama nazwa „panny kompanki“—jakbyśmy podzisiejszemu, zakatarzeni francuzczyzną, powiedzieli: *demoiselle de campagnie*—wskazywała charakter tego obowiązku, wymagającego nieodstępnej bytności przy boku pani; razem z nią zaj-

mowała się rozmaitemi robótkami kobiecemi, lub głośnem czytaniem, kiedy pani drzemała. Jej obowiązkiem było bawić świecką konwersacyą przybywające osoby, którym etykieta dworska nie dozwalała rychłego przystępu do pani.

Pozycya takiej panny kompanki obudzała zazdrość w całym dworze, raz już dlatego, że szczęśliwą wybraną czyniła niezależną od Jawgiełówny i jej niemiłosiernego grochu; powtóre, iż dawała jej sposobność zawarcia przedniejszych konnexyi, a przez to sperandę lepszego postanowienia w małżeństwie; a nakoniec, że sama pani, czy to przez miłość dla kompanki, albo i miłość własną, miała staranie o jej stroju, który, dla prozopopei dworskiej, od rana do wieczora musiał być bogaty i wyszukany.

Już-to nie inaczej, że owo wyniesienie zawdzięczała najbardziej Zosia niepospolitej urodzie, która prócz tego, iż schlebiała pani, często mogła jej posłużyć do kaptowania stronników, na których wojewodzinie, jako wielkiej statystce swojego czasu, wiele zależało.

Bądź co bądź, ale rychłe wyniesienie Zosi na ów szczebel, do którego wiele się dawniejszych, a dostojniejszych przez urodzenie, zasługiwało, było solą w oku zazdrośnemu fraucymerowi— szemrano sobie, ale pocichu, bo to już *mores* znano na dworze:

— Patrzajcie ją! nie tak to dawno pasła kozy bernardyńskie na Czeczotce, a teraz kompanka! ani to z pierza, ni z mięsa—prostaczka.

Atoli nad wszelkie przewagi i korzyści, jakich owa pozycya dostarczała, najdroższem Zosi było, iż przez nią zbliżyła się do Justka, który, jako rękodajny, był nieodstępnym w antykamerze wojewodziny, wszystkie zaś jej ordonanse dotyczące służby męzkiej, oddawała mu Zosia od pani, a w chwilach częstych, kiedy jej pani nie potrzebowała, a była zajętą w swoim gabinecie dyplomacyą lub odebranemi depeszami, młodzi swobodny czas mieli.

Poznaliśmy oile, otyle dwór wojewody, wprawdzie pobieżnie. lecz trudno inaczej, bowiem opis tak licznego i wspaniałego dworu wymagałby foliałów. Z kolei tedy poznajmy pańską rodzinę: nietyle tu chodzi o samego pana, który, chociaż swojego czasu był wichrzycielem politycznym, jednakże we wszystkiem działał przez małżonkę, a że ta wodze stadła silnie w drobnej niewieściej ręce dzierżyła. więc przez nią najsnadniej poznamy się z tym domem i jego politycznemi zabiegami.

Mowa tu już o drugiej żonie wojewody, także Potockiej z domu, Wojewodziance Poznańskiej, która, jako urodzona z Łaszczówny, ogromny majątek tej wygasłej rodziny mężowi wniosła. Pomimo, iż była to kobieta niepospolitej urody, o czem, prócz spółczesnych, świadczy jej portret, do niedawna jeszcze w galeryi tulczyńskiej Potockich zachowany, pomimo to,—co trudnem do uwierzenia—kobieta acz światowa, jednak niena-

miętna, na hołdy pochwalne i miłosne zawsze obojętna, całą duszą oddana widokom politycznym, i jeżeli kiedy manewrowała wdziękami, to jedynie w celach dyplomatycznych. Pobożna aż do fanatyzmu, praktyk religijnych, bez szczędzenia siebie, przestrzegała surowo: „Nie umieją zliczyć, (powiada jeden ze spółczesnych), ile za jej staraniem stanęło murów poświęcanych, kościołów, kolegiat, konwentów i t. d.“

Miała pięcioro dzieci: cztery córki i jednego syna, owego z czasem marszałka Targowicy, Szczęsnego. Uczucia matki, jak i wszelkie inne, najmniej w tej politycznej piersi znajdowały odgłosu. Jednego małżonka oszczędzała, jako narzędzie swych politycznych zamysłów, dla których wszystkie inne konsyderacye, aż do praw ludzkości, gotowa była poświęcić, czego najlepszym dowodem jest, znana w jej dziejach, katastrofa z synową, Giertrudą Komorowską. Córki, chociaż je, stosownie do swej ambicyi, wydała za wpływowych magnatów, wszakże była o tem gadka, iż od urodzenia, powierzone w ręce ochmistrzyń cudzoziemek, głosu matki nie znały.

Zatem, jeżeli nam chodzi o rodzinę wojewody, to zastanowimy się nieco dłużej nad jej synem, Szczęsnym, jako mającym wpływ przeważny na losy naszych dwojga młodych. Zamiast tedy iść w tej mierze po omacku, wolę zaczerpnąć ze współ-

czesnego poważnego źródła, które o nim tak powiada: [1]).

„Drugi syn [2]) Potockiego. wojewody kijowskiego, i Potockiej, wojewodzianki poznańskiej, bogatej z siebie bardzo kobiety, lecz niezmiernie złośliwej. Wojewodzina kijowska nie chciała pozwolić, aby jej jedynak miał się uczyć w konwikcie warszawskim, chociaż tam już znajdowali się Potoccy; wszystko to było nierówne w głowie tej kobiety; postanowiono zatem dać mu wychowanie domowe. wybrano do tego Pijara, którego nazwiska nie pamiętam, i przydano za dozorcę Bernardyna, który był gwardyanem. Kamerdyner Francuz od młodości zaraz mówił z paniczem pofrancuzku i był największym jego konfidentem. Swiadkowie naoczni, patrzący na to wychowanie, powiadali mi, że Pijar z Bernardynem grali po całych dniach w maryasza, a młody Szczęsny bawił się ze swym kamerdynerem w garderobie, wyciskając cytryny na limonadę, lub zatrudniając się około innych jakich przysmaczków, któremi swoich nauczycieli częstować lubił. Nie wolno było Szczęsnemu widzieć swej matki, ani ojca; trzeba na to było szczególnych audyen-

1) „Pamiętniki H. Kołłątaja.“ Wyd. Edw. Raczyńskiego.
2) Pierwszy syn wojewody Józef Ludwik, urodzony z 1-go małżeństwa z Rzeczycką wdową po Cetnerze, zmarł w dziecińciństwie.

cyi, z których zawsze wychodził połajany lub pobity. Tak rósł Szczęsny w domu swych rodziców, aż przyszedł do tej pory wieku, w której serce młodego obudza gwałtowne uczucia na widok piękności.”

Właśnie ów krytyczny moment, o którym ten autor powiada, przypadł na czas, kiedy bogato udarowane od natury, a podwyższone starannym strojem, wdzięki Zosi były w pełnym rozkwicie, a wpadły w oko rozpróżniaczonemu wojewodzicowi. Nie było w tem szkody, ani nagany dla dziewczyny, która zachowała skromność i prostotę serca, a w niem żywy sentyment dla towarzysza młodości. Lecz wojewodzic starał się pochwycić chwilkę jednę, drugą, osamotnienia z Zosią, która, chociaż w prostocie ducha nie pojęła może całej doniosłości pokusy, jaką krok podobny ze strony panicza mógłby się stać dla zalotnej niewiasty; lecz czychającym zazdrośnicom dość było tych drobnych poszlak, żeby się zawinąć około zguby młodej spółzawodniczki która wielu wlazła w drogę, a nawet samej ochmistrzyni Jawgiełównie, mającej swoje krewne i protegowane na wydatną pozycyą panny kompanki. Gdyby to zdać było na sąd surowy ochmistrzyni, bez namysłu wzięłaby Zosię *na groch* do odmówienia licznych różańców i koronek, ale miało się stać inaczej.

Wojewodzina, jako mądra kobieta, zręcznie sterując nawą małżeńską, nic bez rzekomej rady pana i męża nie przedsiębrała; lecz, mimo to, zawsze tak jakoś wypadało, że stawało się według jej woli. Skoro się tedy rzecz co do konkurów wojewodzica wyjaśniła, zebrało się zacne stadło dla narady, którą zagaiła pierwsza małżonka ze zwykłą sobie powolnością.

— Panie a mężu — rzekła z pokorą — radź, bo od tego ty masz głowę, jak tu sobie począć z tą niemoralnością pana syna?

— Wiesz, moja panno, że mojego oka nic nie ujdzie, a jużem w części temu zaradził — odparł z impetem wojewoda — dziś właśnie dodnia samoszóst. z panem synem, kapitanem Małyńskim i trzema zaufanymi podoficerami, byłem na polowaniu w zielonej puszczy... pan syn napowrót ledwie mógł dosiedzieć na siodle... Mądrej głowie dość na słowie — zakończył znacząco.

My tu zaś dodamy od siebie, że owo polowanie

samoszóst z zaufanymi odbywało się zazwyczaj kiedy wojewodzic miał dostawać *boćkowską* admonicyą; a według świadectwa naocznych działo się to bez uprzedzenia delinkwenta, którego budzono dodnia, koń już był gotowy razem z rynsztunkiem myśliwskim, nieubłagani towarzysze oczekiwali na panicza, nie mogącego wykręcić się od łowów, na których *był zwierzyną*, —tak to się działo dla oszczędzenia senatorowiczowskiej ambicyi.

— Bardzo słusznie — odrzekła z pokorą małżonka.

— Tymczasem Berżański rozprawił się z Francuzem, a że go nie oszczędził jestem pewny. Co do Pijara i Bernardyna za niedozór dostali porządną reprymandę, a ja myślałbym, że wartoby ich klasztorom wstrzymać annuatę przez parę miesięcy.

— Co boskiego to Bogu, uczy wiara nasza, święta—mówiła wojewodzina, wznosząc pobożnie oczy kн niebu — śmiem zatem instancyonować u pana i męża, aby konwentów nie krzywdzić.

— Jejmość świeta kobieta, stanie się według twej woli — rzekł rozczulony małżonek, całując jej rękę. — Ale cóż z Czeczotkówną? Trudno, aby pozostawała dłużej twoją kompanką: zanadto piękna; powód do zgorszenia.

— I ja tak myślę jegomość—rzekła zrazu stanowczo, lecz po chwili dodała ciszej i jakby nie

śmiało — Wszakże z drugiej strony jest i ta konsyderacya, że przygarnąwszy Czeczotków, zatknęło się gęby krzykaczom; umorzyło się kondemnatę, która, jeżeli nie na sejmie, to na sejmiku mogła bruździć...

— Ktoby tam zważał na tę hołotę! — z impetem wrzasnął wojewoda — a kiedy mówię, że wypędzić, to wypędzić!

— Ostatni kuryer z Warszawy, donosi, że król imć co raz gorzej na zdrowiu zapada — wtrąciła półgłosem nie zważając na impet mężowski niewiasta i przytem mimowoli alabastrową rączką musnęła się zlekka po wyniosłem czole, jakby się musze opędzała.

— Powiadasz: król imć jest gorzej? To dziś był kuryer? — mruknął wojewoda zadumany, a po chwili dodał:

— Więc cóż z tą Czeczotkówną? Zawsze to pokusa pod ręką: wojewodzic młody, a krew nie woda...

— Stanie się jak pan i mąż rozkaże; twoja tu jedna a święta wola — rozpoczęła jeszcze powolniej a ciszej, lecz zaraz dodała jakby w nawiasie:

— Zresztą widzi mi się, że dzisiejsze *polowanie* ostudzi zapały wojewodzica; a zaś przyznacie sami jegomość, że pozbywać się kompanki nie wydając jej za mąż lub bez jakiejś widocznej racyi, rzecz

niepraktykowana i wywołać może ogólne szczekanie partyi przeciwnej; zresztą, oile wiem, ona niewinna, nie ośmielała amorów wojewodzica, bo i sama rozmiłowana w Justku, moim rękodajnym.

— To niech się pożenią, najlepszy koniec.

— Albo i nie najlepszy — rozpoczęła już śmielej wojewodzina, widząc, iż wzięła górę nad impozycyą mężowską — ona się tu jeszcze przyda na dworze, osobliwie w tych czasach, lgną do niej młodzi, nawet i starzy, chociaż dziewczyna wcale nie załotna. Ten stary libertyn kasztelan — widziałeś jak wszystkich rozśmieszył, tańcując z nią sarabandy; a gość z niego coraz częstszy i patrzy w nią jak w tęczę... jeszcze jej mi żal oddalać; niech się sprawy uregulują tak czy owak, zawsze sejm niedaleki: a wtedy obaczymy... zresztą mam swe pewne na nią widoki.

— Więc jakże uważasz moje kochanie?—rzekł czule ujarzmiony małżonek, i całując piękne czoło połowicy, dodał. — Oj, to prawdziwie główka nie do pozłoty... cóż tedy zamyślasz?

— Podobno jegomość masz w milicyi wakans na porucznika, po tym niedawno zmarłym... jak tam się on nazywał?

— Czy jejmość kogo protegujesz?

— Jeżeli wolno, to mojego rękodajnego, Czeczotkę.

— Cóż on ci niedogodny? Zda się zwinny chło-

pak, zna służbę, ma dobre maniery i nie głupi wcale...

— Dlatego też chcę go dać jegomości do milicyi.

— Mów-no moje, kochanie, otwarcie. Jest w tem coś innego... — czule wypytywał wojewoda.

— Nie mam dla jegomości tajemnicy: szkoda takiej dziewczyny dla jakiegoś szlachetki, któremu dość będzie pierwsza lepsza z fraucymeru, choćby ją przyszło hojnie wyposażyć... Zosia to senatorski kąsek, a kto wie, co się nam za nią dostanie; takiej gratki z rąk się nie wypuszcza Że zaś ich amory stoją mi na zawadzie, najpierw więc trzeba ich rozdzielić.

— Gdyby nie to, że mnie Bóg obdarzył taką małżonką, powiedziałbym, iż szkoda, że podobną głowę na ciele białogłowskiem położył; ale da Bóg, że ją ozdobię, jak tego warta — wymówił z zapałem wojewoda przyciskając do gorących ust piękne czoło małżonki...

Więc powiadasz, moja panno, że przybył kuryer z Warszawy?

— Dziś rano, kiedy jegomość polował — i dyplomata w spódnicy wydobył z zanadrza papiery, które oboje chciwie przeglądali. Po ukończeniu tej dyplomatycznej pracy wojewoda, znalazłszy pod ręką jakiś pargamin, spytał:

— A toż co, moja panno?

— Patent dla mego rękodajnego na porucznika, jeżeli łaska mego męża i pana — odpowiedziała pokornym głosem postulantka.

— Hm, hm, tyle tam zasłużonych, a posiwiałych pod chorągwią spodziewa się tego awansu! Ale... i podpisał, pytając: — A kogoż, moja panno, weźmiesz za rękodajnego?

— Od woli jegomości, ale myślałabym, żeby się naradzić z Berżańskim i wziąć kogoś z karmazynów, bo też wistocie Czeczotka, choć sprawny, ale na taki wydatny post za drobny szlachetka.

Na dworze powstały rozmaite szemrania.

— Prawdziwie, że ów Czeczotka w czepku się rodził! To inny, mosanie, dworakuje wiek cały, a ledwie na starość pójdzie na łaskawy chleb i gracyą: a tu ni ztąd ni z owąd rękodajny a z rękodajnego podporucznik, to już i lafa officerska i ranga, a wszelaki liwerunek, już jest o co ręce zaczepić a z czem się w świecie pokazać.

— No, patrzcie, gołowąs, jeszcze mleka matczynego z pyska nie otarł: a chwyta nam zprzed nosa to, na co człowiek cały wiek biedował, jako szeregowiec, od młodzika aż do siwizny flintę dźwigał—szemrali starzy milicyanci.

Nic nie wiedzieli malkontenci przeciw Justkowi, iż on bardziej od nich narzekał na ten los zawistny, rozłączający go z jedyną, z Zosią. Rozłączenie zaś to było jakby przedzielenie daleką przestrzenią, bo chociaż wszystkie gałęzie służby dworskiej miały ze sobą pewną styczność, wszakże milicya stanowiła kompartyment całkiem od-

dzielny. Nie było takiej powinności wojskowej, któraby dawała akces na pokoje, bo wszystko się odbywało nazewnątrz pałacu: nie było więc sposobności dla młodych, nietylko słowa ale spojrzenia, zamienić.

Kapitan Małyński główny kommendant milicyi, a w wojskach cudzoziemskich na rygorze i subordynacyi wyćwiczony, rad był officerowi młodemu a zdolnemu, gdyż już inne stare jego wygi przez lata nie dopisywali militarnym wymaganiom i cały ciężar służby na młode barki się zwalił.

Żałował teraz Justek, iż usłuchał wuja Tomasza, kiedy między nim a Zosią stanęła nieprzebyta przegroda; radby był wrócić na zruinowaną plebanią O. Hugona: ale już nie śmiał rugować Zosi z jej stanowiska, bo i on już nabrał innego pojęcia o tem osamotnieniu, które, kiedy istniało, tak mu się zdawało niewinnem aż wreszcie zetknięcie z innym światem otworzyło wzrok, a nauczyło tego pytania: „Co na to powiedzą?“

Na domiar nieszczęścia dwojga rozmiłowanych, koszary wojskowe, stanowiące rodzaj fortyfikacyi, okalały dużą zagrodę zamkową, posiadającą prawie ćwierć mili przestrzeni i przez to od samego pałacu i jego wszelkich służb znajdowały się w znacznej odległości; przystęp zaś do pałacu jednym tylko służbowym szyldwachom i ordynansom, do czego

zwykle używano żołnierzy i podofficerów, był dozwolony.

Już od pół roku Justek pełnił nową funkcyą w milicyi, a zaledwie razy parę mógł dostrzedz zdaleka Zosię, kiedy w kolebce lub kolasie, w towarzystwie pań, a co gorsza i panów, przejeżdżała się strojna, a nawet (o zgrozo!) zdawała mu się zdaleka uśmiechniętą i zalotną. Rozpacz biedaka ogarniała; dałby pół życia, całe nawet, żeby ją choć na chwilę ujrzeć zblizka, jedno z nią słówko zamienić. Możeby inny na jego miejscu znalazł ku temu środki przez przyjaciół i przychylnych, lecz on ich nie miał, bo jego rychła krescytywa we dworze, przysporzywszy mu zawistnych, wszystkich przeciw niemu zniechęciła. Pozostawał sam, opuszczony, w niepewności, i nieraz modlił się gorąco, aby wuj Tomasz, jedyny człowiek, na którego mógł liczyć, przyjechał, lecz ten promowując sprawy pańskie w kilku trybunałach, ani się dowiadywał.

Nie powiemy, aby szczęśliwszą była Zosia na pokojach, lubo stała się celem zawiści wszystkich towarzyszek, a nawet samej Jawgiełłówny. Od kiedy dwór pański i fraucymer pamiętano, żadna z dziewcząt nie była obsypana taką łaską i hojnością pani; nie mijało dnia, ażeby swej faworyty nie udarowała jakim strojem albo klejnocikiem, tak, iż zazdrośnie szeptano:

— Patrzajcie. Taka prosta szlachcianica, a już w samych precyozach i strojach! Ma od pani porządne wiano.

Złe języki szły dalej: posądzano Zosię o amory z wojewodzicem, lecz najniesłuszniej, bo przezorna matka aż nadto dobrze przewidziała, iż *polowanie w Zielonej Puszczy* poskutkuje na ostudzenie miłosnych zapałów; wszakże zapatrzona w politykę, nie dojrzała, na jak zgubne trakty przeniosły się synowskie amory, bo właśnie na zamku pojawiła się Gertruda Komorowska, kasztelanka sandecka.

Wojewodzina nie ruszała się bez swej faworyty, która: przez spryt wrodzony kobiecie, nabywszy światowej ogłady, jaśniała na pokojach wojewodzińskich i była celem adoracyi i zabiegów wielu magnatów, a nie wiedziała o tem nieboga, iż jest tylko przynętą dla celów politycznych przebiegłej pani. I ona tęskniła za Justkiem w osamotnieniu; otoczona niechęcią i zawiścią, bezsilna i smutna, z rezygnacyą dźwigała tę złoconą niedolę. Nakoniec doszła do jakiejś automatycznej ruchliwości, z którą obojętnie wykonywała co jej kazano. O to też właśnie wojewodzinie chodziło.

W koszarach milicyi był drugi automat z Justka: musztrował się, pełnił punktualnie służbę, stronił od ludzi, którzy, niewiadomo za co, krzywo nań patrzyli, a poza tem pędził czas samotny i smutny w swojej izdebce i czekał zmiłowania bożego, niewiedząc zkądby ono przyjść mogło, bo o jedynej podporze i pociesze w złej doli, o wuju Tomaszu, już zwątpił.

Tymczasem główny kommendant, kapitan Małyński, stary już i spracowany silnie, zachorował i kommenda po starszeństwie dostała się Justkowi. Nic na tem nie straciła kompania i nic też się nie rozprzęgło, bo nowy kommendant, sam pracowity a zdolny, rychło się w rzemiosło wojenne wprawił i wszystkiemu podołał. Nic też nie zaszło nadzwyczajnego: tesame warty, częste parady dla gości, bo, zaprawdę, że i milicya ta była tylko od parady.

Pewnego wieczora Justek odebrał ordynans pański zapowiadający wielką paradę nazajutrz,

z muzyką i kotłami w pełnych uniformach, przy rozwiniętych chorągwiach, z galą i t. d.

— Dobre i to: choć zdaleka Zosię obaczę—pomyślał uradowany porucznik.

Nadszedł upragniony dzień mustry. Milicya swoim zwyczajem świetnie wystąpiła; kommendant jej nie zwrócił uwagi, że zjazd panów był liczniejszy, a jeżeli wzrok na chwilę oderwał od kommendy, napróżno szukał Zosi, nieodstępnej od wojewodziny, przy której teraz jakieś inne panie w kolebce siedziały; zaniepokoiło go to niemało. Przypuszczał już, że może jest chorą, gdy nagle, rzuciwszy machinalnie okiem w inną stronę, dojrzał kolasę paradną, zaprzężoną w sześć białych koni ze strusiemi piórami, w złotej uprzęży, otoczoną jezdnemi dworzanami w galowych strojach, a w kolasie Zosię — oczom swoim nie wierzył — obok starca, kasztelana S. [1]), samą jednę bez innego towarzystwa.

Szczęściem, iż parada miała się ku końcowi, bo biednemu kommendantowi w oczach ściemniało, i ledwie miał dość siły dobyć głosu na ostatnią kommendę. Jeszcze raz machinalnie wzrokiem rzu-

---

1) „Kasztelan S." figura nie zmyślona, przez wzgląd na żyjących jego prawnuków, nazwiska w całości nie podajemy.

(Przyp. Autora).

cił w stronę, gdzie stała kolasa, i dostrzegł wyraźnie, że Zosia, patrząc na niego, twarz chustką zakryła; zdało mu się, iż łzę otarła nieboga.

— Ej, gdzie zaś! Śmieje — się bezwstydna! — coś mu znowu szepnęło.

Po skończonej mustrze przybył rękodajny wojewodziny, następca Justka na tej godności—był to krewny państwa, jak na dworzanina, człek już zapędzony trochę w lata, dumny, z góry innych traktujący, dla wyjątków tylko uprzejmy, jedyny z całego dworu, z którym Justek od czasu do czasu, obojętne słowo zamienił; teraz przynosił on rozkaz p. wojewody, co do porządku fajerwerków:

— Skoro tedy między godziną dziesiątą a jedenastą usłyszysz waćpan strzał karabinowy z wieży pałacowej, dasz pierwszą salwę z moździeży, za następnym strzałem puścisz słońca, potem rakiety, fajerwerki i t. d.; wszystko po strzałach sygnałowych: więc już od dziesiątej godziny niech puszkarze stoją z zapalonemi lontami.

— Powiedz-że mi jegomość — rzekł niby od niechcenia Czeczotka—co to za gala taka u dworu?

— A cóż to waćpan z jasyru przybywasz, czy co?—Przecie to zaręczyny naszej pięknej panny kompanki z kasztelanem S. Nie widziałeś, że jako już oblubieńcy jechali na paradzie sami w o-

sobnym powozie narzeczonego? To jeszcze nie takie nas fety czekają, bo na św. Annę odbędzie się weselisko. Niedługo czekać, niecałe cztery tygodnie.

— A cóż?—panna kontenta?—zbierając sił resztki, pytał kommendant.

— Ciekaw jestem! nie miałaby być kontenta? Prawda że stary kościotrup, co najmniej mógłby być jej dziadkiem, posiadając wnuków starszych od narzeczonej; ale jej zapisał cztery wsie. A jakie prezenta, to w dyamentach i precyozach schowa się z głową, a szalami perskiemi, co jej dał, to dziesięć takich można okryć, jak ona. Spodziewam się, że to los dla takiej szlachcianeczki. Stary lada dzień wyciągnie kopyta, a wdówka będzie miała za co kupić sobie młodego gacha. No, ale zapewne i waćpan będziesz na pokojach.

— Nie mam inwitacyi.

— To dziwna. Przecie się parada powiodła nadspodziewanie, wszyscy nie mogą się nachwalić dobrej prezencyi milicyi; ale chyba coś wojewoda cierpi do waćpana, bom go na zamku nie widział oddawna.

Szczęśliwie, iż na tem się urwała rozmowa, której Czeczotka ledwie miał siły dotrzymać.

Przerzucając się teraz z koszar do pałacu, obaczmy co się działo z panną kompanką, a dziś już oblubienicą senatora.

Nazajutrz po przywiedzionej przez nas rozmowie pana wojewody z żoną, Zosia, korzystając z przybycia nowego kuryera z Warszawy, który zawsze panią przez dobrych parę godzin zajmował w gabinecie, wyrwała się przez paradne pokoje do antykamery, chcąc Justka powitać: zapędziwszy się prosto, nieoględna, chciała dawnego towarzysza drzemiącego na sofie, obudzić lekkiem uderzeniem w ramię, gdy szmer sprawiony jej przejściem, podniósł na nogi wcale nieznaną jej figurę; na ten widok odstąpiła pomieszana. lecz przypuszczając, iż ktoś pragnący audyencyi u pani czeka na rękodajnego, ozwała się:

— Jegomość zapewne czeka na na rękodajnego; natychmiast tu przybędzie.

— Wybacz mi jejmość panna, że ośmielam się jej kontrować, ale rękodajny jest już na miejscu.

— Gdzież-by był, kiedy go tu niema?—zapytała zdziwiona.

— Właśnie ma zaszczyt submitować się jejmość pannie—rzekł nieznajomy z głębokiem pokłonem.

— A imść p. Justyn Czeczotka?—spytała nieśmiało Zosia.

— Od dziś obejmuje nową szarżę porucznika milicyi.

Zosia odeszła nadąsana w tem rozumieniu, iż ktoś dopuszcza się względem niej niewczesnego żartu; usiadłszy przy krosienkach, machinalnie igłę przewlekała, oczekując niecierpliwie przybycia pani, która tylko co weszła; Zosia zbliżyła się do niej, mówiąc:

— Ktoś tam jest w antykamerze zapewne do jaśnie wielmożnej pani.

— To pewnie rękodajny—odparła krótko wojewodzina.

— Jegomość pan Czeczotka nie wiem dlaczego dotąd się nie stawił—wtrąciła zarumieniona Zosia.

— A to ty nie wiesz, moja kochana, że Czeczotka nie jest rękodajnym.

— Czyliżby on się jaśnie wielmożnej pani nie podobał?—podchwyciła ze łzami w oczach dziewczyna, zapominając o etykiecie dworskiej, która młodszym pytać nie dozwalała.

Ale że wojewodzina kiedy chciała umiała być łaskawą, więc odpowiedziała dobrodusznie:

— Lepiej ci powiem moje dziecko, że nie on mnie, ale ja się jemu nie podobałam.

Dziewczyna w milczeniu rozwarła szeroko oczy łez pełne.

— Nie wierzysz może?—mówiła łaskawie wojewodzina, głaszcząc ją pod brodę--masz najlepszy dowód, że prosił pana wojewody o szarżę porucznika w milicyi, którą on tak dla jego zasług, jak i na moje prośby, łaskawie mu konferował.

Dziewczyna jeszcze szerzej otwarła jasne oczy, jakby rzec chciała:

— Nic a nic nie rozumiem.

— Ej, ty filutko— mówiła łaskawie pani, głaszcząc złote kędziory Zosi—ty więcej wiesz odemnie, bo coś tam między wami zajść musiało. Jak mi powiadają, że Czeczotka jeździ w konkury do córki ekonoma kluczowego i dlatego prosił właśnie o szarżę wojskową, żeby mieć lafę i....

Zosia nagle zbladła, aż jej dobra pani pożałowała, a tuląc jasną główkę do piersi, mówiła:

— Może to plotki: jedno tylko co wiem dowodnie, że twój Justek prosił o szarżę wojskową, ktorą otrzymał; resztę zapewne sam wyjaśni: wszak nikt mu wstępu na pokoje nie broni.

Dziewczyna jakotako uspokoiła się oczekiwa-

niem, chociaż w głębi serca żal uczuła niewymowny, po błogich dniach minionych, kiedy była razem z towarzyszem dzieciństwa. Czekała pierwszego święta, kiedy ze zwyczaju większa liczba sług zasiadała do stołu pańskiego; między innymi przybywali dwaj starsi officerowie komendant był na miejscu, obok niego stołek próżny. Zosi serce zamarło. Drugiej Niedzieli tosamo się powtórzyło! Dobra pani spytała starego kapitana o powód nieprzybycia porucznika:

— Zapewne korzysta z abszytu, który z regulaminu przysługuje mu w święta, jeżeli nie zapowiedziano parady.

Zosia z wysileniem powstrzymywała łzy cisnące się do jasnych oczu. Dobra pani otuliła ją czułym macierzyńskiem wzrokiem i odtąd ze zręcznością sobie właściwą, zaczęła się wdzierać w zaufanie młodej dziewczyny, a jakby rówieśnica stawała się powoli jej konfidentką. Łóżko Zosi stanęło tuż w alkierzyku, obok sypialni pani—zaszczyt i łaska, której nie pamiętano, aby kto z fraucymeru dostąpił.

— Moje dziecko— mawiała dobra pani — twój Justek się bałamuci, ale i ty nie bądź lepszą a przynajmniej udawaj, że się bawisz, że równie zapominasz niewiernego; to najlepszy sposób: dowie się, wróci jeszcze czulszy; a nareszcie czy przy takiej krasie tyle ci szczęścia sądzono na

świecie, ile z jakimś młokosem nieumiejącym ocenić wiernego affektu. Los byłby niesprawiedliwym.

Dziewczyna tymczasem bladła, straciła sen i spokój, a tylko zawdzięczając dobrej pani, siliła się, oile mocy, zapanować nad swoim smutkiem.

Dwór, zawsze nie bez gości, teraz się roił niemi, bo i czas to był gorący, przedsejmikowy.

Zosia, z obowiązku kompanki, musiała przez gorycz serca wydobywać uśmiech na usta, produkować się w tańcu, śpiewać miłym głosem światowe pieśni, przy wtórze cytry lub harfy— bo i w muzyce zrobiła znaczne postępy.

Najstalszym gościem, a wielce pożądanym dla państwa, jako człek znacznej fortuny, obszernej kolligacyi i wziętości, a na czele licznej partyi stojący, był kasztelan S., prawdziwy personat podeszły w lata, pan orderowy o niebieskiej wstędze, z niemałą influencyą u dworu i szlachty— słowem: *persona* bardzo *grata* w czasie przedsejmowym.

Śmieszny to był staruszek, bo choć wdowiec po dwóch żonach, w lata bardzo zapędzony, ale pełen pretensyi, gwoli dogodzenia której zrzucił strój dawny, poważny, przywdział się poniemiecku, ażeby peruką, różem, bielidłami starość pokrywać: wciskał się pomiędzy młodzież do tańca, z nogami podagrycznemi; ale ślepym był

na to, iż śmieszył tylko ludzi dzikiemi pretensyami, a zawsze nadskakiwał najmłodszym kobietom.

Otóż, krótko mówiąc, kasztelan rozgorzał sentymentem ku Zosi: rozumie się, iż ogień ten rozdmuchiwała gorliwie wojewodzina, chcąc kasztelana dla swych politycznych widoków skaptować. Stała się zręczna pani powiernicą starego amorka, chcąc skarbić sobie zasługę przezwyciężenia surowości przedmiotu jego westchnień. Zosi strzegła sama i otoczyła ją zaufanemi służebnemi, dla pozbawienia jej prawdziwych wiadomości o Justku, który, według dochodzących biedną dziewczynę plotek miał już być po deklaracyi z jakąś urojoną ekonomówną. Kasztelan zaś już prawie osiadł w Krystynopolu; był bardziej domowym niż gościem, a jak przyszyty do Zosi.

Wojewodzina całe życie pogrążyła w dwie praktyki: polityczną i religijną, chociaż ta ostatnia była niejako na drugim planie, ale czas zbywający od pierwszej poświęcała jej z niemałą gorliwością. Od kiedy Zosię miała nieodstępnie przy swoim boku, dziewczyna jej dopomagała w pacierzach, a chętnie, bo sama zawiedziona boleśnie w nadziejach serdecznych, rada w modlitwie szukała pociechy.

Zazwyczaj, kiedy się kończyły pokoje, chociaż nie rzadko już późno w noc, wojewodzina z kompanką zamykała się w swojem oratorium, przylegającem do jej sypialni, gdzie się nabożeństwu oddawała i pokutując za politykę—często do białego dnia krzyżem leżała.

Pewnego wieczora, kiedy dłużej się zabawiano na pokojach, a kasztelan był względem Zosi bardziej niż zwykle sentymentalny i przedsiębierczy—wojewodzina wróciwszy z kompanką do swoich komnat, kiedy zrzucała strój dzienny pa-

radny, a według przyjętego zwyczaju, wdziewając suknię *quasi* zakonną, z paskiem św. Franciszka—rzekła do Zosi, uśmiechnięta i rozradowana, tuląc ją do piersi:

— Moje dziecko, dziś pomódlmy się goręcej, niż kiedy, albowiem mamy za co Bogu dziękować, a uprosić sobie dalszą opiekę. Powiem ci, że stało się to, czego najbardziej pragnęłam.... a wiesz co?

— Zkądżebym miała wiedzieć? Wszelako cieszę się niewymownie, bo każda pomyślność, jaka jaśnie wielmożną panią, a moją szczególną dobrodziejkę spotyka, sprawia mi radość niekłamaną— odparła dyplomatycznie dziewczyna, która już dworski ton mimowoli przybrała.

— Ależ tu nie o mnie samą chodzi; przecie powiedziałam, że mamy za co Bogu dziękować, to jest *my obie* — wtrąciła znacząco wojewodzina, kładąc nacisk na ostatnich wyrazach.

Zosia milczała ze spuszczonemi oczyma.

— A jakież dziś odmówimy pacierze? — pytała dalej pani w najlepszem usposobieniu.

— Przepraszam jaśnie wielmożną panią za roztargnienie, dotąd nie zajrzałam do kalendarza i nie przygotowałam stosownych książek do nabożeństwa; natychmiast to spełnię—odparła z pokorą Zosia, uchylając drzwi oratorium.

Wojewodzina ją wszakże powstrzymała, mówiąc:

— Nie trudź się moje dziecko. Dziś odmówimy sobie Godzinki i Litanią o św. Józefie Oblubieńcu, patronie szczęśliwych małżeństw. za doznaną łaskę i na uproszenie dalszej Jego opieki, która się *nam* przyda.

Tak rzekła filuternie wojewodzina, patrząc zpod oka na kompankę, która stała nieporuszona i obojętna, w służalczej postawie, co widząc wojewodzina, trzepiąc zlekka Zosię po rumianej twarzyczce, ozwała się wesoło:

— Zapewne domyśliłaś się, filutko. co to za łaska św. patrona małżeństw spływa na *nas?*

— Może która z panien wojewodzianek?--rozpoczęła dziewczyna.

— Ej ty „cicha wodo, co brzegi rwiesz"—śmiejąc się, przerwała wojewodzina— jakbyś nie wiedziała, że to o ciebie idzie?

— O mnie?—szepnęła przerażona dziewczyna.

— Jużci nie o mnie, bom nie na wydaniu, ale to zawsze wam dziewczętom, gdy idzie o małżeństwo, w gardle zastyga; niby się nie domyślasz, ze kasztelan zdeklarował się mnie o twoję rękę, a widzisz—moje niewiniątko, wiedziałam, że tak będzie—rzekła pani wesoło, wysuwając nieco naprzód drobną nóżkę w atłasowym trzewiku, jakby w oczekiwaniu pocałunku wdzięczności od hojnie obdarowanej.

Zosia na te słowa, jakby skamieniała na miejscu, była blada i drżąca.

— Wiem to — rzekła wojewodzina — iż często niespodziewana pomyślność przeraża nas i trwoży, ale moje dziecko naucz się panować nad sobą, bo to się często przytrafia w życiu—perswadowała.

— O pani! ja tej pomyślności nie pragnęłam i nie szukałam wcale — mówiła ze łzami dziewczyna.

— Tem goręcej powinnaś dziękować Bogu, że tobie sierocie zesłał los taki świetny, którego ci niejedna senatorówna pozazdrości.

— Niech więc ten los spotka godniejszą nademnie—mówiła nieśmiało Zosia.

— Czyś oszalała! — zawołała z gniewem pani i odstąpiwszy parę kroków, zmierzyła dziewczynę surowym wzrokiem—chyba w prostocie nie umiesz ocenić całej doniosłości swego szczęścia?

— Jaśnie wielmożna pani—u nóg wojewodziny wypłakiwała Zosia — ten związek nie dla mnie; niech sobie pan kasztelan szuka innej, odpowiedniejszej do swej pozycyi.....

— Pleciesz, moja kochana, jak w gorącze—ofuknęła klęczącą u nóg swoich wojewodzina i dodała z dumą: — Kiedy *ja swatam*, rekuza jest niemożliwą, i czy chcesz czy nie chcesz *ja przyjęłam* za ciebie i stać się inaczej nie może.... jakto, dziew-

czyna, którą wyniosłam na stopień mojej kompanki, nabawiłaby mię takiej konfuzyi?... Nie, mościa panno, to być nie może!

Zosia ciągle klęczała u nóg pani, przez płacz spazmatyczny, ledwie wymówić zdołała:

— Czuję się niegodną wysokiej łaski, jaką mię jaśnie wielmożna pani zaszczyciła, ale stać się posłuszną w tej mierze, to nad moje siły.... Niech mię pani oddali od siebie jako niewdzięczną; ból ten przeniosę z pokorą, ale....—i ciężkie łkanie mowę jej przerwało.

Wojewodzina, przerażona nie na żarty, wziąwszy z gotowalni larendogry, polała skronie omdlewającej dziewczyny, podjąwszy ją z ziemi, posadziła obok siebie i z czułością macierzyńską składając jej główkę na piersi, mówiła pieszczotliwym głosem:

— A jakaż to jeszcze głupiutka ta twoja główka, moja Zosiu! Nie może objąć doniosłości całego szczęścia, które jakby z nieba spadło.... Powiedz sama: jakaż twoja pozycya na świecie? dobrze, dopókąd ja żyję, to cię nie opuszczę; ale wszyscy jesteśmy śmiertelni, wiecznie kompanką nie będziesz....

— Pani! każ mi iść do szwalni, haftarni, garderoby, ale nie zmuszaj do tego związku, do którego najmniejszej inklinacyi nie czuję — ze łzami błagała dziewczyna.

— Pojmuję co to jest; zapruszyłaś sobie głowę tym porucznikiem, który, widzisz, jak dba o ciebie, a sam się tam zabałamucił inną.... ah! której to z nas moja kochana zamłodu nie majaczyli się tacy porucznicy! ale przeznaczenie kobiety jest inne, a w małżeństwie zazwyczaj nie bierzemy co chcemy, ale co się trafia. Roją ci się szwalnie, haftarnie: to nie żadna rozkosz, a na cóż ci być w czyim fraucymerze, kiedy swój własny będziesz miała? doczego ci wycierać cudze kąty? Zresztą, wiedz o tem—dodała znacząco—że ja twojej intercyzy dopilnuję, a kasztelan, na śmierć w tobie rozmiłowany, oprzeć się nie potrafi. A czyliż to długo z takim starcem? Powzdycha tam jaki roczek, a potem wdowa po senatorze, a do tego oprawna—bo już ci mówię, że tak płazem tych amorów staremu dziadowi nie puszczę, a po ślubie, twoja w tem głowa, żebyś sobie więcej przysporzyła, potem zaś będziesz miała całą młodość przed sobą i użyć jej będzie za co.

Zosia mimowoli odsunęła się od tych morałów, jak od syczenia węża, i śmielej nieco przemówiła:

— Cenię tę niezasłużoną dla mnie łaskę jaśnie wielmożnej pani, ale deklaracyi pana kasztelana przyjąć nie mogę.

— A wiesz ty, mościa panno — rzekła wojewodzina dumnie i stanowczo — iż niebezpiecznie chorego nie pytają: czyli mu leki smakują? lecz dają

mu je przemocą? Ty bredzisz, moja kochana, jak w malignie, ja za ciebie rozum mieć muszę, jako twoja opiekunka, bo za ciebie odpowiem przed Bogiem. Mam jeszcze dwie córki niepostanowione; gdyby o którą podsunął się kasztelan żadnejbym nie rekuzowała.

Nagle zaś zmieniając ton surowy, a głaszcząc jasną główkę dziewczyny, dodała z przymileniem:

— Czy to rozumie ta piękna główka, iż nagle nasze pozycye zrównają się? Obie będziemy jednako senatorowe, a nawet kolligatki, bo z kasztelanem jesteśmy w powinowactwie, choć to jakaś dziesiąta woda po kisielu, ale zawsze kolligacya. A teraz, moje dziecko, pomódlmy się, żeby cię Bóg natchnął dobrą myślą i ową zbyteczną sentymentalność z serca wyrugował.

Nazajutrz, kiedy w roli dyplomaty wojewodzina zdawała z całej tej sprawy relacyą małżonkowi— rzekła z przechwałką:

— Widzisz jegomość jak to pani wojewodzina postanawia swój fraucymer, wydając za przedniejszych senatorów w rzeczypospolitej... sam przyznaj, mężu, że jeszcze nikt Familii tak zdrowego *zęba sejmowego* nie wyrwał; możemy już być spokojni o sejmiki w Winnicy i Wiszni, skoro kasztelan z nami.

Za dalekoby nas zaprowadziło śledzenie całej przebiegłej dyplomacyi wojewodziny, jaką uplątywała biedną ofiarę: to grzmiąc na nią burzami gniewu wyniosłej pani, to naprzemian ogrzewając rzekomą macierzyńską miłością, doprowadzić ją potrafiła do stanu bierności, odebrać i tak słabe siły do najmniejszej opozycyi; zaślepiony zaś miłością starzec apatyą pięknej bogdanki składał na karb gorącego sentymentu. Z kilku zaś słów wyrzeczonych do porucznika Czeczotki przez rękodajnego, snadno przyjść do tego wniosku, że intercyzy ślubnej, według obietnicy, dobrze przypilnowała zręczna wojewodzina.

Nie ma wątpić czytelnik, że uroczystość zrękowin, jak wszystko na tym dworze, odbyła się świetnie, z wielkim przepychem; biedna tylko oblubienica, przygnębiona tym nadmiarem szczęścia (?), prędzej się kwalifikowała do obchodu pogrzebowego, niż do godów zrękowinowych.

Nie wdamy się w szczegóły, jak się co odby-

wało, jak częstowano. Zaczęły właśnie wchodzić w modę one późne obiady, przeciągające się niekiedy za północ; wszystko już było przewidziane, że przy wzniesionym wiwacie za oblubieńców, którzy obok siebie siedzieli na przedniejszem miejscu uwieńczonem kwiatami, za danym z wieży znakiem, miały się rozpocząć fajerwerki. Wszystko stosownie urządzono: kiedyby wojewoda powstał z pucharem, marszałek dworu miał pociągnąć sznur od dzwonka na wieży zamkowej, a na jego odgłos znajdujący się tam dworzanin strzałem miał dać sygnał zapalenia przez puszkarzy fajerwerków; chociaż to niby miała być swego rodzaju niespodzianka, ale dość rozpowszechniona w gronie częstujących, a wszyscy prawie przy powstaniu wojewody z wiwatowym pucharem; zwrócili się ku oknom, które miały ogniami sztucznemi zabłysnąć; jakiś nawet dworak uprzedzając admiracyą ogólną, kiedy padł ów strzał sygnałowy z wieży, zawołał w zachwyceniu, na dobrą wiarę:

— Co za prześliczny fajerwerk!

Wszyscy, opuściwszy miejsca przy stole, cisnęli się do okien, poza któremi czarna noc się rozciągała. Takie uchybienie subordynacyi było kryminałem dyscyplinarnym milicyi nadwornej, która prócz urządzania parad i fajerwerków, in-

nej czynności z prochem strzelniczym nie odbywała:

— Cóż u kata! posnęli!? Ja to wszystko każę rozstrzelać. Idź waćpan na wieżę, sam dawaj sygnały jedne po drugich, póki ci błazny fajerków nie zapalą — rzekł wojewoda z passyą do marszałka dworu.

Stary Berżański wdrapał się na wieżę, zabrał ze sobą ile flint było pod ręką, a wierny rozkazom, sypał strzał po strzale, co bardziej zaciekawiło kompanią, wszyscy powstali od niedokończonej uczty, skupili się przy oknach, ciekawsi wysypali się na krużganek pałacowy: a tu ciemno i ciemno, tylko marszałek wierny rozkazom punktualnie prowadzi z wieży kanonadę.

Odkiedy stoi dwór krystynopolski na swoich fundamentach, nie pamiętano takiego fatalnego uchybienia fantazyi pana, który się chwalił ślepą subordynacyą podwładnych i wzorową karnością swej milicyi. Za toż teraz zakipiał złością nie do opisania, a niezważając na gości i oczu na siebie zwróconych, zawołał w pasyi:

— Ha, łotry przeklęte! nie zapalili fajerwerków kiedy im kazano. Żywcem ich spalę!

A pomimo późnej pory i godności nóg senatorskich, otoczony dworzanami i pachołkami, do któ-

rych przyłączyło się coś i ciekawych gości, pędem się puścił ku koszarom.

Szyldwachy i czaty na wieżach i przy moście zwodzonym byli na miejscu. A gdy pan spytał o puszkarzy i fajerwerkierów, którzy-to właśnie uchybili swej powinności, okazało się, iż spali, rozbudzeni zaś i stawieni przed groźne pańskie oblicze, tłómaczyli się, iż żadnego ordonansu od kommendanta nie odebrali.

— Owóż co jest smarkaczom kommendę powierzać! — wołał w passyi wojewoda — gdyby stary Małyński był na nogach, nigdyby takiego uchybienia nie dopuścił. Dajcie mi tu tego smyka kommendanta!

Natychmiast na rozkaz pański rzucono się do izdebki porucznika Czeczotki. Zaczęto co siły łomotać do drzwi, lecz nikt tam znaku życia nie dawał; zameldowano o tem rozsrożonemu panu.

— Co tam za ceremonie! Wybić drzwi wyciągnąć z łóżka i z trumny nawet, gdyby w niej leżał, i stawić go tu przedemną!—rozkazywał wojewoda sierdziście.

Słyszeliśmy rozmowę rękodajnego z Czeczotką, której ten ledwie miał siłę z wymuszonym spokojem dosłuchać, tak mu bowiem fatalnem echem odbiły się w sercu te wyrazy dworzanina o Zosi: „A czemużby nie miała być kontenta?" Mimowoli porucznik przypomniał sobie jej postać w powozie paradnym obok starego adonisa, jej piękne oblicze, niegdyś mu takiem szczęściem i nadzieją jaśniejące, zakryte chusteczką; na tę myśl wąż zazdrości ugryzł go w samo zbolałe serce i podszepnął:

— Zdawało ci się, że to była łza poczciwa: nie, to był uśmiech zalotnicy.

Tętniły mu te wyrazy w stroskanej myśli, jakby marsz pogrzebowy utraconej nadziei. Spojrzał dokoła siebie na tysiące rojących się ludzi, na pałac wrzący zabawą, a w pośrodku tych tłumów ujrzał się odosobniony, samotny, nie miał ani jednego przyjaciela, ni powiernika, żadnej duszy przychylnej, w którą mógłby przelać choć czą-

steczkę trującej go goryczy—dokoła niechętni i zawistni; nie mógł patrzeć na tę zgraję bezmyślną, wesołą, chciał się schronić przed ludźmi, przed samym sobą, uciekać przed rozpaczliwemi myślami. Schronił się do swojej izdebki.

Promowowanym będąc na porucznika, mieszkanie obrał sobie Czeczotka, w jednej z narożnych baszt zamku, w której na dole umieścił dwa swoje konie, a na górze, w izdebce na poły zruinowanej, sam się ulokował; powodem tej preferencyi starej baszty nad inne wygodniejsze kwatery, w obszernych koszarach—było to, iż z tej wysokości mógł mieć widok skał swoich rodzinnych, mógł napawać się w swojem osamotnieniu wspomnieniami młodości, obrazem dawnej swej Zosi, z którą go teraz rozdzielała jakaś fatalność, i to go jeszcze nęciło, że baszta posiadała drugi otwór nazewnątrz zamku, przez który w chwilach wolnych od zajęć wymykał się konno lub pieszo do swoich skał rodzinnych, aby się pocieszyć w smutku.

Wszedłszy teraz do swojej baszty, porucznik zostawił na dole przy koniach swojego ordynansa; był nim stary Grzegórz, weteran, przez wiek i pracę do szeregu niezdatny; ujrzawszy swego officera, salutując należycie po wojskowemu, meldował:

— Czy nie będę potrzebny panu kommendanto-

wi, bo to okazya w pałacu, chciałbysię człek państwu przypatrzeć—nie dodał starowina, że razem miał zamiar oblać tę okazyą, czego nigdy nie zaniedbywał.

— I owszem mój Grzegorzu, daję ci abszyt nieograniczony, nie będziesz mi potrzebny — odparł łagodnie Czeczotka, rad że i tego niewinnego świadka swego smutku pozbyć się może.

Wszedł Czeczotka do swej izdebki, a w zadumie i rozdrażnieniu jął ją przemierzać szerokiemi krokami — raczej tłukł się po niej, jak dziki zwierz zamknięty w klatce menażeryjnej. Długo nie mógł wyrugować z myśli dwóch sprzecznych wyrazów, które walkę sobie wydały w jego stroskanej głowie—„śmiała się! płakała“.

— O nie! — zawołał nakoniec sam do siebie, uderzając rozpalone czoło—ona się nie śmiała, bo od jej zdrowego, srebrnego śmiechu to wszystkie nasze skały radosnem-by echem dzwoniły... Czego ona biedaczka tak blada?

To znów mu kotłowało w głowie przeróżnemi myślami; jedne były od drugich dziksze i szaleńsze, sam je przed sobą głośno wypowiadał, chcąc je ubrać w jakąś powagę:

— Tak uzbroję milicyą, napadnę na zamek, rozpędzę tę całą hołotę, wyrwę ją z tych szponów, zabiję jej starego adonisa, ją ukryję w naszych skałach, tam nas nie znajdą, a tak nam do-

 8*

brze tam było na plebanii. Wuju Tomaszu, czemuż cię usłuchałem! Milicya mnie nie usłucha, albo to źle tym pasibrzuchom ze swoim panem?.... Nie, Zosia jest przymuszoną, stała się ofiarą ich intryg, ratować ją muszę, ale jak? Czas krótki, na św. Annę ma już być żoną tego starca.... Siły! siły! siły!

Wołał, ryczał prawie, miotając się jak źwierz dziki w zamknięciu, z okien baszty groził zaciśniętemi pięściami pałacowi.... aż nieszczęsny wybuchnął głośnym płaczem. Zmrok go tak zastał. chociaż znękanym, jednak spokojnym.

Gdy się ściemniać zaczęło, osiodłał jednego z koni, a dwóch ich posiadał: jednego tureckiego z daru pańskiego, drugiego przyprowadził był ze sobą jako jedyną spuściznę po przodkach: był to mały górski podjezdek, nadzwyczaj zwinny i silny, do jazdy po stromych skałach nazwyczajony, a którego Justek od źrebięcia wychodował, zwykle zaś teraz do wycieczek pozasłużbowych używał. Dosiadłszy teraz podjezdka, a obejrzawszy pozycyą, że dokoła zamkowych wałów było pusto, bo wszystek motłoch wewnątrz się skupił, przypatrując się pańskiej zabawie — otworzył furtę zewnętrzną i zniknął poza nią.

Skoro pośpieszono na wypełnienie pańskiego rozkazu i drzwi wybito, wojewoda się niecierpliwił, wołając:

— A cóż tam, dawajcie tu tego łotra!

Usłużni, przeszperawszy rychło wszystkie kąty izdebki, zawiadomili wojewodę, iż porucznika nie znaleźli.

— A gdzież jest?— zadał pan gniewny pytanie, które z konieczności zostało bez odpowiedzi.

— Gdzie jego ordynans? Dajcie mi tu ordynansa!

Rzucili się usłużni i wydobyli z rowu starego Grzegorza, który już pałacową okazyą zalał według zwyczaju, a na wszystkie pańskie zapytania, zataczając się, bełkotał:

— Pan porucznik dał mi abszyt nieograniczony; mam honor meldować.

Nakoniec przy świetle pochodni wdrapał się wojewoda na basztę po starych i wyszczerbionych schodach, sam przetrząsał wszystkie kąty szczupłej izdebki, a takie ciasne, że zaledwieby szczura pomieściły—niedowierzając nikomu. sam szukał; w tem poszukiwaniu zwróciła pańską uwagę skrzynka z białego drzewa, gdzie Czeczotka chował swój skromny dobytek; uderzał w oczy napis świeży na wieku węglem, następujący:

„Do zwrotu jaśnie wielmożnemu wojewodzie, wszystko otrzymane z jego wspaniałomyślności“.

Zapewne w przypuszczeniu, iż czegoś się więcej dowie, wojewoda gorączkowo oderwał wieko skrzynki i jął wyrzucać całą jej zawartość różno-

rodną. były tam: mundur officerski milicyi, suknie, które Justek wdziewał jako rękodajny. pas lity z daru wojewody, pierścień kosztowny od pani, kilka sakiewek ze złotem, które kiedyś były mu dane i t. d. Na widok tych wyrzuconych kosztowności niejeden przytomny rzekł sobie w myśli:

— Jaki głupi! to wszystko pozostawił.... Toż to niezgorsza sumka, chudopacholski majątek.

Napastwiwszy się dowoli, nad tem świadectwem swojej niegdy hojności, przerzucił to jeszcze kilkakrotnie wojewoda, w nadziei wynalezienia nowych jakich wskazówek, lecz przekonany o bezskuteczności swych poszukiwań, odezwał się do dworzan i milicyi:

— Wszystko, co tu jest, razem z jego koniem, stanie się własnością tego, który pojma i dostarczy zbiega. Sto czerwonych złotych dodam od siebie; nie idzie o tego ladaco, ale dezercya wojskowa winna być przykładnie ukarana. Ochotnicy niech wezmą dworskie konie, a nie szczędzić ich, niech zdechną, byle dezertera pojmać.

Na te słowa pańskie szmer ogólny rozległ się pomiędzy widzami zalegającymi izdebkę i schody; jeden drugi z milicyi biegł co rychlej do stajni, odwiązywał konia od żłobu, wskakiwał nań nawet bez siodła, i odrazu cały dziedziniec zatętnił pod kopytami końskiemi: tak nęciła chęć zdobycia

znacznej nagrody; wszakże kilku rozważniejszych, którzy się odrazu rzucili na zdobycie tej przyobiecanej fortunki, ochłonęło po namyśle, rozumując sobie:

— Wziął podjezdka, który jak koza czepia się po skałach: pewnie więc udał się drogą przez urwiska Czeczotki, a przytem musiał już dawno wyjechać i — „szukaj wiatru w polu“.

Wszakże, pomimo to, w mgnieniu oka kilkudziesięciu śmiałków rozsypało się poza wały zamku, na tę grę czysto-losową.

Przestrzeń od owej narożnej wieży zamkowej do krużganków pałacu była dość znaczną; pomimo to przeciągnął się przez nią jeden szereg ciekawych. Wieść o zbiegu, o wyznaczonej nagrodzie i tam dalej, z ust do ust lotem błyskawicy doszła na zamek, a doszła, jak to bywa poludzku, w kilkudziesięciu odmianach, niewiadomo zaś czy z prostego wypadku, lub może z insynuacyi samej pani, o uszy pięknej oblubienicy, a królowej tego zmitrężonego festynu, Zosi, obiła się w przerobionej formie: że jednocześnie z Justkiem znikła jakaś dziewczyna z miasteczka, że nakoniec ludzie pracujący w polu widzieli ich jadących razem na jednym koniu ku skałom i t. d., bo zaprawdę, niema pod słońcem lepszej machiny do przerobienia komara w słonia, nad język bliźniego.

Taka wieść, w tem olbrzymiem powiększeniu, obiła się o różowe uszko oblubienicy: padła biedna bez czucia.

Łatwo sobie wyobrazić popłoch i zamieszanie, jakie między gośćmi powstało. Wyniesiono chorą, nawpół martwą do komnat, na łoże samej pani, która za nią z niewiastami pośpieszyła. Dwóch lekarzy nadwornych stanęło przy łożu, pani wróciła na moment na pokoje, już znacznie opróżnione, aby uspokoić aprehensye oblubieńca, wiadomością, że omdlenie było spowodowane niespodzianem szczęściem i affektem gorącym dla niego.

Około południa nazajutrz zaczęli ściągać ochotnicy, którzy się byli puścili w pogoń za Czeczotką, wszyscy prawie na ochwaconych i podbitych koniach; dwóch jeszcze brakło—na nich wojewoda pokładał całą nadzieję nasycenia zemsty, ale i ci stawili się ku wieczorowi pieszo, bo im konie padły w tej pogoni.

Prawdziwie w czepku się rodził ten szczęśliwy Justek, że uszedł cało, bo gdyby dał się pojmać, byłoby mu nie z miodem, gdyż wojewoda bardzo nie lubił, aby jego projektom wpoprzek drogi stawano.

Biedna Zosia zawisła między życiem a śmiercią, tak, iż z początku lekarze o niej zwątpili, wszakże po kilku dniach młode siły przemogły chorobę i niebezpieczeństwo minęło; lecz chociaż wzmacniała się ciałem, jednak napróżno usiłowała zebrać przytomność umysłu, aby zdać sobie sprawę ze wszystkiego, co ją spotkało, a co już jakby przez mgłę tylko widziała.

Wojewodzina była wprawdzie nieodstępną przy łożu chorej, lecz tej pytać się nie ośmielała; inne zaś służebne, od czasu do czasu zastępujące panią, jakby z polecenia, lawirując w odpowiedziach, wybadać się nie dawały: nie widząc zatem innego sposobu zdobycia prawdy, razu pewnego, kiedy wojewodzina przy niej czuwala, wzięła dziewczyna na odwagę, a przyciskając do ust schorzałych rękę pani, rzekła pokornym tonem:

— O gdyby jaśnie wielmożna pani z łaski swej dopomódz raczyła mojej biednej pamięci, gdyż nie

mogę zdać sobie sprawy z tego, co się stało i dlaczego tak ciężko chorowałam?

— I owszem, moje dziecko, rada ci w tem dopomogę, a to tem chętniej, iż nic tobie się złego nie stało, oprócz wszakże tej choroby, którą Bóg zesłał, a może to z aprehensyi i nadmiaru szczęścia, bo, jak ci wiadomo, zostałaś narzeczoną kasztelana S.

— O, pani, czyliż zawsze mam być tą narzeczoną? czy nie dość, żem to odchorowała?—wymówiła biedna dziewczyna ze łzami, wstępując tym nowym smutkiem w odzyskane władze umysłu.

— Nie bądź-że dzieckiem, moja Zosiu, samaś się zaręczyła dobrowolnie.

Tak perswadowała wojewodzina powolnie, jak się czyni z małem dzieckiem, pragnąc mu coś wbić w pamięć, a okazując kosztowności w kryształowych puszkach złożone obok jej łoża, mówiła dalej:

— Patrz, oto jest pierścień zaręczynowy twego oblubieńca kasztelana. Co za dyament! jaki ma połysk! Powiadam ci, że niewiele takich pomiędzy mojemi precyozami znajdzie się; a jak on w tobie rozmiłowany, ile ci tu pięknych rzeczy nadawał! A wiesz, że już zaniósł do akt zapis dla ciebie całego klucza na Podolu, z czterech pięknych wsi? Jeszcze na tem niekoniec, byleś tylko miała rozum, moje dziecko.

Zosia z rozkapryszoną minką odwróciła się od tych cacek, a po chwili rzekła z przymileniem:

— Czy wolno jaśnie wielmożną panią o coś jeszcze zapytać?

— Czemu nie, moje dziecko?—odparła łagodnie wojewodzina.

— Coś mi się majaczyło w chorobie o Justku.... o poruczniku.... ale sama sobie nie dowierzam.

— Na nieszczęście, musisz uledz smutnej rzeczywistości: źle się pan porucznik popisał, zawiódł zaufanie wojewody, który mu konferował znaczną szarżę wojskową nad jego wiek i *merita*, a nadto skompromittował mnie, bo to się stało za mojem wstawieniem....

— Cóż on takiego zrobił?—przerwała niespokojnie Zosia.

— Jakto, nie wiesz? Uciekł, krótko mówiąc, splamił się dezercyą wojskową; już zamilczę o tem, iż okazał się dla domu naszego niewdzięcznym—surowo zakończyła pani.

— A dlaczego to on uciekał?—zapytała Zosia z dziecinną natarczywością.

— Nie chciałabym cię martwić, moje dziecko, ale że możesz się o tem od innych dowiedzieć, więc lepiej powiem odrazu, że to awanturka romansowa z jakąś panną z miasta.

Zosia, pokręciwszy schorzałą główką, wypowiedziała z mocą:

— O nie, nie, to jaśnię wielmożną panią źli ludzie w błąd wprowadzili: musiał on mieć inne powody.

— Czyli mu tu źle było? czy kto ztąd uciekał pokryjomu, od kiedy dwór ten stoi na fundamentach?—Przecież i sama wiesz, że aspirantom nie możemy się opędzić, a jeżeli kogo więzimy, to chyba sercem i dobrym traktamentem. Mógł przecie prosić o abszyt, ale uciekać jak złoczyńca!—mówiła z oburzeniem wojewodzina.

Zosia spuściła oczy, pod któremi łezka gorąca zawisła.

Trwało czas jakiś milczenie; przerwała je wojewodzina:

— A gdybyś spróbowała wstać, ty leniuszko... Najpierw lekarze ci to zalecają, gdyż leżeniem możesz zdrowie pogorszyć; a potem ulituj się nad biednym kasztelanem, który, jak pies wierny, pod drzwiami twemi stróżuje dniem i nocą. Warto, żebyś go pocieszyła; a nakoniec cała robota twojej wyprawy zatamowana, kilkanaście sukni czeka na przymierzenie.... bo już-to ja mojej senatorowej bez godnej wyprawy nie wypuszczę od siebie; chciałabym, żebyś i po mnie miała pamiątkę —zakończyła czule wojewodzina, biorąc schorzałą główkę dziewczyny w obie ręce, które ta cału-

jąc z wdzięcznością, szepnęła, jakby głośno pomyślała:

— Oh! jaka ja byłam szczęśliwa w moich drelichach, z nim razem, na plebanii!

— Romanse, moja panno, romanse! Pożyjesz, to się przekonasz, że pałac lepszy od plebanii, a koronki i atłasy od drelichu; a zresztą wyperswaduj sobie, że już nie wrócisz do dawnego szczęścia, bo i twój kompan szuka sobie innego po szerokim świecie — mówiła ironicznie wojewodzina.

— O, nie, on wróci, on mnie nie opuści — odparła z mocą dziewczyna, a następnie, składając ręce jak do modlitwy, zakończyła błagalnie:

— O dobra pani, nie wydawajcie mię za kasztelana!....

— Miej-że rozum, moje dziecko! — przerwała pani napozór łagodnie, wszakże widocznie opanowując gniew, który mimowoli w jej głosie przebijał—nie supponuję, żebyś chciała zażartować z tak poważnego pana, jak kasztelan, i mnie narażać na wstyd przed ludźmi. Czyli i ty miałabyś zamiar tak się wywdzięczyć, jak twój pan porucznik? Zapytaj całego fraucymeru—a są tam i senatorówny—czy się znajdzie choć jedna, któraby z pocałowaniem ręki nie akceptowała takiej partyi, jak kasztelan?.... Nie wątpię, że rozsądek zagłuszy w tobie niewczesne dziecinne kaprysy, i wyj-

dziesz na pokoje, pokażesz się biednemu kasztelanowi, który usycha z trwogi i tęsknoty, a da Bóg za parę tygodni wydobrzejesz i na moje imieniny zrobisz mi wiązanie ze swojego szczęście, którego pragnę z całej duszy, jak swego własnego, jak moich dzieci.

I macierzyńskiem pocałowaniem schorowanej główki dziewczęcia, zakończyła pani tę napozór czułą rozmowę, w której wszakże pewna szorstka stanowczość drogę do wszelkiej repliki tamowała.

W ten sposób wprawdzie nie przekonała, ale, że się tak wyrażę, wojewodzina ujarzmiła biedną Zosię, a chociaż ona dotąd była pozbawioną możności widywania Justka, jednak wiedziała, iż czuwa nad nią zdaleka; teraz zaś, ucieczka jego, w której wszakże zmyślone powody nie wierzyła, pozbawiała ją tej jedynej domniemalnej opieki.

Pośród licznego dworu ujrzała się dziewczyna osamotnioną, nie mając przy sobie ani jednego życzliwego serca, w któreby mogła przelać troski dojmujące ją, myśli podzielić, rady zasięgnąć; prócz pani otaczały ją służebne pokorne, milczące, jakby mumie i posągi.

Liczny fraucymer, gdzie najłatwiej mogła Zosia znaleźć rówieśniczki lat i usposobienia, za jej rychłe wyniesienie nad inne powitał ją odrazu niechęcią wielką, zazdrością, nienawiścią nawet,

a wszystkie te ujemne uczucia wzmogły się jeszcze względem niej jako szczęśliwej oblubienicy wielkiego pana; rosła jeszcze owa niechęć, kiedy towarzyszki kłóły sobie palce nad jej bogatą wyprawą, narzekając nieustannie:

— Patrzcie-no, nie miało-to całej sukienki na sobie, kiedy tu przybyła, a teraz stroi się w atłasy, brokatele, aksamity—jakaś tam czeczotka! czemuż nie siedzi w swojem gniazdku?....

Nazajutrz po rozmowie z panią, rada nie rada, Zosia stawiła się na pokoje blada, drżąca, bezsilna, prędzej do pięknego trupa, niżeli do szczęśliwej oblubienicy podobna.

Kasztelan zaślepiony nie posiadał się z radości, tembardziej, iż zręczna wojewodzina potrafiła go przekonać, że główne powody choroby leżały w zapale sentymentów dla niego, a pochodziły z nadmiaru szczęścia, z oczekiwanego rychło połączenia; szczęśliwy oblubieniec dodał coś jeszcze do przeszłych hojności, obsypując narzeczoną niespodziankami.

Biedna Zosia, oplątana siecią intryg i nienawiści dworu, na wszystko co ją otaczało spoglądała z bezmyślnością i apatyą automatu, obawiając się zajrzeć bliżej w tę przepaść otwartą na jej pochłonięcie; a oddawszy się Bogu, wyrobiła w sobie rezygnacyą konieczną w jej smutnem położeniu.

Tak to jest na tym padole płaczu, iż oczekującym dnia szczęśliwego czas żółwim się wlecze krokiem, dzień zaś smutku i żałoby lotem błyskawicy przybywa. Nie opatrzyła się Zosia niebożka, gdy nadszedł ów dzień św. Anny—dzień rokrocznie uświęcany uroczystemi niespodziankami, któremu przed paru laty złożyła w ofierze mizerne swe dziedzictwo, dziś zaś sama szła na całopalenie zachcianek pańskich. Była to niepoślednia w swoim rodzaju niespodzianka, wydanie panny z fraucymeru za pierwszego senatora, a że wpływowego i na czele znacznej partyi, akt więc był niemałej doniosłości politycznej.

Niema co powiadać o przygotowaniach do wielkiej spezy. Mówią. że wszystko dorównało przepychowi, z jakim się odbyło wesele starszej wojewodzianki, która przed dwoma laty wyszła była za Lubomirskiego, Wojewodzica Kijowskiego. Wszystko się więc po myśli państwa składało, nawet ucieczka Justka była na rękę, bo kto wie? w ostatniej chwili mógł coś zbruździć.

Na parę dni przed owym festynem, a terminem fatalnym dla Zosi, roiło się od podróżnych na wszystkich drogach, wiodących do Krystynopola, paradowały cugi pańskie, kałamaszki szlacheckie, a byli i jezdni i piesi, ci ostatni, chciwi, dążyli na okruchy z pańskiego stołu, któremi chudopachołkowie mogli się jeszcze pożywić.

Trudna kwestya do rozwiązania: czy więcej było ciekawych czy przychylnych? O tych ostatnich sąd należy do affektu, który się gnieździ w sercu, na widziane więc orzec stanowczo niepodobna: ale to pewna, iż ciekawych nie brakło—ciekawi najprzód byli festynów wojewody, które równych sobie nie miały, ciekawi byli krasy oblubienicy rozsławionej szeroko, tudzież zadanego jej przymusu, o czem ludzie zcicha szeptali, ciekawi byli śmieszności starca, stającego się prostodusznie narzędziem przymusu dla dziewczyny.... a nareszcie gdzież to są granice ludzkiej ciekawości, która i obecnie tłumy ciekawych ku Krystynopolowi pędziła?

W sam dzień godów, w porze rannej, już przybliżonej ku południowi, przed austeryą o dobrą milę od Krystynopola, przepełnioną rozmaitym ludem pysznym i niepysznym, stał skromny skarbniczek podróżny uprzężony trzema końmi, z których jeden mierzynek osiodłany lubo zziajany, jednak trzymał się jeszcze z pewną fan-

tazyą, lecz co do dwóch innych koni, to jeden wyciągnąwszy się na ziemi już dyszał śmiertelnie, drugi zaś, opuściwszy uszy, robiąc silnie bokami zaledwie się trzymał na drżących nogach.

Przy tym zaprzęgu znajdowało się dwóch ludzi: jeden z nich starszy, lat dobrze średnich, ale krzepki i barczysty, przechodzając się wszerz i wdłuż, z niedowierzaniem i pewną ironią, poglądał na młodszego, krzątającego się przy koniach, szczególniej przy stojącym na nogach: to go słomą wycierał, to poił wodą, to ściskał nozdrza żeby pożądane parsknięcie wywołać; na co starszy ruszał tylko z niedowierzaniem ramionami, a w końcu ozwał się:

— Ostrzegałem, abyś nie spędzał tak koni, które nie podzielają gorącości sentymentów twoich, a teraz—masz!

— Natychmiast ja tu go odchucham, a bułanego zostawimy w austeryi, kasztanek z moim hucułkiem dociągną nas.

— Pleciesz! kasztanek nam padnie, jak i tamten, o jakie sto kroków.

— O Boże, co począć! —łamał ręce z rozpaczą młodszy, a uderzając się w czoło, z tryumfem zawołał:

— Kupię konia u kogoś z przejezdnych, żeby przyprządz do hucułka, i w porę staniemy. Mam

jeszcze dość pieniędzy — odparł, uderzając się po trzosie, ukrytym pod kapotą.

A nie czekając potwierdzenia swego zamiaru przez starszego, natychmiast zainterpellował jakiegoś podróżnego, zmierzającego za innymi biedką o jednym żwawym koniku.

— Hej, panie bracie!

— A czego tam?—odparł podróżny, zwalniając biegu.

— Przedajcie mi waszego konia; dobrze zapłacę.

— Zmyj głowę zimną wodą, pijanico ty jeden, a gdy się prześpisz pojedź w niedzielę do Buska na jarmark, tam sobie szkapę kupisz; bo ja końmi nie handluję—ofuknął zagadnięty, a zaciąwszy konia, ruszył dalej.

— Targ się waści nie powiódł— rzekł starszy, uśmiechnięty, ruszając ramionami

— Jeszcze nie stracona nadzieja; poproszę, żeby kto nas zabrał.

Stał uparcie przy swoim młody, a zamiar w czyn obracając, udał się do jednego drugiego z podróżnych charłaków, bo pańskich cugów nie było, co w tej mierze zaczepiać; lecz również każdy się wymówił, to zmęczeniem koni, to, że znajomego ma zabrać po drodze, a któryś tam, stateczniejszy z zagadniętych, odpowiedział dobrodusznie:

— Wybaczcie, panie, podwiózłbym was, ale, obciążywszy zmęczone szkapy, nie stanę na czas w Krystynopolu, a tam paradny ślub ma się odbyć punkt o dwunastej w południe. Mówią, że to tam ma być przepych, jakiego świat i Korona Polska nie widziały. Owóż ciekawość, jak mówią, pierwszy stopień do piekła; dla niej-to człek jak fircyk jaki już dziś trzy mile upalantował i szkapy zmachał, zatem nie chciałbym chybić tej okkazyi. Radźcież więc sobie, panowie bracia, jak możecie, niech wam Bóg dopomaga.—Wio!—i zaciął szkapy ciekawy szlachcic.

Młodszy podróżny, niedosłuchawszy całej perory szlachcica, skoro mu w słuch wpadło, że „ślub ma się odbyć punkt o dwunastej”—rzucił się jak szalony ku koniom i z boleścią ujrzał, że kasztanek rozciągnięty przy bułanku wtórował mu w śmiertelnem chrapaniu i nadomiar zmartwienia starszy, ukazując mu konie, rzekł z wyrzutem:

— A co? nie ostrzegałem, żebyś nie pędził koni? teraz masz: ustały w samą porę.

— Ach! panie wuju, ja oszaleję. Co począć, co począć? Zmiłujcie się nade mną, nad nią, siadajcie na mego huculka, puśćcie mu tylko cugle. On was krótszą tu drogą zaniesie do samego miejsca; wy tam najpotrzebniejsi: toż chodzi o życie, o przyszłość—wołał młodzieniec pochylony do

nóg starszego, który, litośnie na niego spojrzawszy, rzekł z rezygnacyą:

— Człek babrząc się w tych papierach, ze dwadzieścia lat na koniu nie siedział, ale nie ma co! Jeno, bacząc na solenność momentu, wartoby się ogarnąć, bo jakże się tam stawić w podróżnej kapocie!

— Nic nie szkodzi. Kurz taki na drodze, że żal sukien, a słońce wysoko; nim się przebierzecie, wszystko się skończyć może. Przypaszcie szablę—i dość!

Tu młodzieniec, dobywszy szablę z wózka, opasał nią starego, który, chociaż trochę ciężko, ale się wdrapał na osiodłanego konia, a odrazu zebrawszy cugle i ruszając z kopyta, ozwał się:

— Zostawaj z Bogiem, chłopcze, jakoś ja tam sobie poradzę przy łasce boskiej.

I skrył się podróżny w tumanach kurzu; młodszy za odjeżdżającym poglądał, jakby mu się dusza rwała, żeby za nim poskoczyć.

Owoż i po tajemnicy; pewni bowiem jesteśmy, iż czytelnik w dwóch owych podróżnych przy ustałych koniach, odgadł dawnych znajomych: patrona Tomasza Setnickiego i porucznika Czeczotkę; z tym ostatnim dawnośmy się nie widzieli, bo przed samą chwilą dokonania dezercyi wojskowej, którą nam jeszcze usprawiedliwić należy.

Jeżeli sobie czytelnik przypomina, Justek odbywszy ową paradę przed Zosią, jako narzeczoną kasztelana, najpierw był trapiony zazdrością, lecz następnie, ochłonąwszy z tego pierwszego zapału, gdy wziął pod bliższą rozwagę wszystko, co dotąd z nim i jego towarzyszką młodości zaszło, bez trudności odgadł całą osnutą zręcznie intrygę wojewodziny, aby sobie swobodę działania względem swej panny kompanki pozostawić.

Pojął dopiero Justek, czemu miał przypisywać zmianę swej pozycyi z rękodajnego samej pani na szarżę wojskową, której się wcale nie spodziewał, absolutne usunięcie go od pałacu, na

które wcale nie zasłużył swojem postępowaniem i otoczenie Zosi szczególną czujnością—słowem: otworzyły mu się oczy na tę całą intrygę dworską, której znaczenia i doniosłości w prostocie ducha dotąd rozplątać nie umiał.

Widzieliśmy, jak się biedak miotał bezsilny, a dziwaczne mu projekta przez myśl przechodziły, nawet nieprawdopodobny napad wojskowy. Dopiero po głębszej rozwadze przyszedł mu na myśl wuj Tomasz, który od czasu ulokowania siostrzeńców na dworze wojewody, nie ukazał się tam ani razu.

Pan Tomasz, niegdyś główny pełnomocnik do spraw wojewody, opuścił to stanowisko, jak widzieliśmy, ażeby nie występować w sprawie przeciw krewnym swoim Czeczotkom; ktoś go tam z tuzinkowych jurystów zastąpił, on zaś zatrzymał nadal prowadzenie spraw ważniejszych przy trybunałach, lecz zastrzegając sobie, te tylko które się zgodzą z poglądem jego sumienia; przed takim prawnikiem, jakim swojego czasu był Setnicki, fantazya pańska ustąpić musiała.

Nie dziw, że pan Tomasz dla attentowania spraw licznych wojewody, życie przepędzał na wózku. Dawniej często zaglądał do Krystynopola; od czasu zaś installacyi młodych swych krewnych wcale się tam nie ukazywał. Kiedy więc Justek przed ową ucieczką rozważał

wspólną swą pozycyą z Zosią, przyszło mu na myśl, że z czasów odbywania funkcyi rękodajnego, kiedy mniej ważną i nietajemną korrespondencyą w imieniu pani odbywał, ile razy wuj Tomasz zapowiadał swoje przybycie, pani zawsze starała się wynaleźć jakąś rzekomo ważną sprawę do załatwienia, byle patrona trzymać w oddaleniu od dworu.

Ztąd, krótko mówiąc, zrodziła się myśl owej ucieczki dla odszukania wuja Tomasza, jedynego na świecie, na którym opuszczone sieroty mogły polegać. Jak wiadomo, czas był krótki i zamiaru od wykonania nie można było oddzielać: zatem Justek, kiedy w pałacu obchodzono uroczyście zaręczyny jego najmilszej towarzyszki, on sam wdział drelichową kapotę, w której na dwór przyszedł, opasał się trzosem napełnionym dukatami, odziedziczonemi po ojcu, siadł na własnego konika, starą ojcowską szablę przypasał — i co było pańskie, wszystko zostawiając nietkniętem, puścił się na odszukanie wuja Tomasza.

„Szukaj wiatru w polu“, według przysłowia; a w rzeczy samej i to odszukanie byłoby może łatwiejsze, nad dopytanie się prawnika; wojewoda bowiem razem z małżonką, posiadał rozległe dobra niemal w każdem województwie.

Gdyby Czeczotka był podawnemu rękodajnym, możeby mu łatwiej było dowiedzieć się o miejscu

pobytu wuja Tomasza; lecz teraz, oddalony od pałacu, nie miał do tego sposobu, a zresztą i czas był krótki potemu, i obraz dręczonej Zosi stał mu przed oczyma; puścił się więc na oślep, jak to mówią—„gdzie oczy poniosą“.

Za długą podróż odbylibyśmy z czytelnikiem, idąc w ślad za Justkiem, który na swym wiernym huculku kawał kraju przejechał, zanim odszukał wuja Tomasza, gdzieś aż pod Humaniem na głębokiej Ukrainie, ale odszukał w czasie zaledwie wystarczającym na odbycie dalekiej podróży.

Pan Tomasz, wysłuchawszy, oile mu krewniak opowiedzieć potrafił—znając dwór, domyślił się wszystkiego i natychmiast puścił się w drogę; dla krótkiego zaś terminu, aby lepiej mógł pośpieszyć, wziął lekki skarbniczek, bez służącego, a Justek, doprzągłszy do jego dwóch koni swojego huculka, ofiarował mu się na woźnicę; lecz sentymentalny automedon niepomiernie stosował siłę rumaków do szybkości uderzeń rozmiłowanego serca, a dalej widzieliśmy co się stało; jedno co dodać należy, iż po odjeździe wuja Tomasza, pozostawszy przy dogorywających koniach, drżał na samą myśl, iż jego jedyny opiekun i ostatnia nadzieja wybawienia biednej Zosi, może się spóźnić i przybyć po fakcie już dokonanym.

Co się tymczasem działo na zamku, do którego śpieszył patron?

O świetności i przepychu przygotowań, jakby przyrosłych do tego dworu, niema co powiadać, także o liczbie gości, których tam nigdy nie brakło, a tembardziej teraz, bo ich kasztelan przywabił tak przez swą popularność, jak i śmieszność czynu—tego niewłaściwego małżeństwa.

Od wczesnego ranku w obszernej gotowalni samej pani, pod jej kierunkiem, krzątano się około stroju panny młodej, która dostąpiła niepraktykowanego zaszczytu, obudzającego zazdrość towarzyszek: zajęcia krzesła tualetowego samej pani, umieszczonego pomiędzy czterema ogromnemi weneckiemi zwierciadłami.

Oblicze Zosi, wybladłe, obojętne a posągowe, widzowi nieznającemu okoliczności nasunęłoby niezawodnie pytanie:—„Czy stroją oblubienicę do ślubu, czy trupa na katafalk?“ Na całej jej twarzyczce, niegdyś tak ruchliwej i żywej, napiętno-

wała się rezygnacya męczennicy; przeto w serca kilkunastu posługujących jej z musu towarzyszkach robak zazdrości wpił się głęboko.

Kościół OO. Bernardynów, gdzie miała się odbyć owa uroczystość całopalenia tej niebogi Zosi, odległym był od pałacu o jakie kilkanaście minut powolnej pieszej drogi, a obrzęd ślubu był wyznaczony na godzinę 12-tą w południe; pomimo to orszak ślubny wyruszył z pałacu prawie na parę godzin wcześniej, z tego powodu, iż jego liczebność potrzebowała czasu i miejsca dla wolnego postępowania, kiedy bowiem pierwsze cugi już odjechały od kościoła, większa ich połowa nie wyruszyła jeszcze od pałacowego krużganku. Sam pan młody miał poczt złożony z dwustu prawie koni, licząc w to cugów kilka, dworzan, kozaków, hajduków, milicyi i t. d.

Ciekawym zaprawdę było się czemu przypatrzeć: to też zebrały się ich tłumy tysiączne; zatem dla utrzymania porządku, od krużganku pałacowego do drzwi kościoła, uformowano po obu stronach szpaler z milicyi nadwornej i kozaków humańskich, aby tłumy w karbach utrzymać.

Zaledwie po godzinie dwunastej oblubieńcy stanęli przed ołtarzem. Nie mówimy tu o przystrojeniu świątyni, której ścian nie było widać zpod drogich materyi, gerland i festonów, a posadzki zpod bogatych kobierców.

Panna młoda, już dotąd oswojona z ciężarem cierpień, uginała się teraz pod bogatym strojem, do którego ówczesnym obyczajem, dołączano jaknajwięcej kosztowności i precyozów, a jak obecnie zazdrość towarzyszek szemrała. iż „cały pański majątek spoczywa na tej szlachcianicy“.

Patron, z łaski siostrzeńca wsadzony na hucułka, dojeżdżał właśnie w tej chwili, kiedy cały orszak weselny już wstąpił w progi świątyni; dostrzegłszy to z wysokiej góry, na której się znajdował, chociaż, jak sam powiadał „iż od lat dwudziestu na koniu nie siedział“ — niemniej jednak. ku wielkiemu zdziwieniu hucułka, zażył go tak, jak mu się nigdy nie zdarzało, i lotem błyskawicy stanął przy klasztorze.

Pan Tomasz, jako świadom dworskich obyczajów, zmiarkował, że przy takiej uroczystości świątynia, lubo obszerna, zaledwie mogła pomieścić panów i przedniejszych dworzan, a dostęp do niej dla ludu bywał przy takich okazyach wzbroniony: skierował się tedy prosto na dziedziniec klasztorny; tam, zsiadłszy z konia, a będąc obeznanym ze wszystkiemi zakątkami klasztoru i przytem w pokrewieństwie z nieboszczykiem o. Hugonem, przeszedłszy przez boczne drzwi i kurytarz, wsunął się przed sam ołtarz, przed którym już się obrzęd ślubny rozpoczął, i stanął

nawprost oblubienicy, do której właśnie kapłan zwracał się z sakramentalnem pytaniem:

— „Masz dobrą a nie przymuszoną wolę i t. d.“

Słuch wszystkich przytomnych wytężył się dla pochwycenia odpowiedzi, która, bacząc na towarzyszące okoliczności, wszystkich zaciekawiała; wszystkie piersi oddech zatamowały, tak, iż najmniejszy szelest dałby się słyszeć pod sklepieniem kościoła; gdy wtem oblubienica, ujrzawszy wuja Tomasza—jedyny środek ocalenia i ratunku — odbiegła od ołtarza, a rzucając mu się w objęcia z płaczem—zawołała:

— Panie wuju—ratuj!

Stało się to tak wszystko nagle a nadspodzianie, że panowie nie mieli czasu wyjawić swego zdziwienia i gniewu na zjawienie się tego obłoconego i okurzonego intruza w paradnym orszaku; czyn zaś nadspodziewany oblubienicy doreszty szyki wszystkim połamał i w ogólne osłupienie wprawił.

Zosia ciągle płakała, wsparta na silnem ramieniu wuja, ale płacz to był spokojny, nie rozpaczliwy, jak przedtem.

Grobowe milczenie zaległo całą świątynię, wzrok i słuch widzów wytężył się w ów punkt, gdzie stała ta najmniej spodziewana para: Zosia w objęciach wuja Tomasza.

Pierwsza wojewodzina, przemagając ową apa-

tyę, która wszystkich opanowała, zbliżyła się do patrona i Zosi z surową przemową:

— Kto waćpana ośmielił przybywać tu bez inwitacyi? — a ty, Zosiu, idź na swoje miejsce, od ślubu się tak nie odchodzi!

— Idź, moje dziecko, na ten ślubny kobierzec, ja ci nie przeszkadzam—rzekł patron z pewną ironią do Zosi, odsuwając ją zlekka od siebie.

— Ja nie chcę, nie chcę! panie wuju, ty mnie przynajmniej nie będziesz przymuszał, ale obronisz! wyjęczała dziewczyna ze łkaniem dziecinnem, tuląc się do piersi patrona.

— A więc to jest „dobra a nieprzymuszona wola"—ozwał się szyderczo patron do wojewodziny, a podnosząc głos, aby być słyszanym na cały kościół, wypowiedział:

— Was tu waszmość panów przytomnych wzywam w imieniu Boga i honoru, abyście poświadczyli przed prawem, gdy tego wymagać będzie, iż małżeństwo to miało się odbyć pod przymusem.

To rzekłszy, wziął Zosię za rękę i wszedłszy pomiędzy zdziwione, strojne tłumy, które im miejsce czyniły, wyprowadził ją z kościoła.

Dziwiła się tylko gawiedź przedkościelna, ujrzawszy pannę młodą, przed chwilą cel ogólnej

admiracyi i zazdrości, gdy sążnistym ogonem bogatej sukni zmiatała śmiecie miejskie, dążąc do gospody z jakimś niestrojnym człowiekiem w opylonej odzieży.

Łatwo sobie wystawić konsternacyą całego orszaku ślubnego na tę niespodzianą konkluzyą godów weselnych. Wielu gości rozjechało się wprost z kościoła, reszta wstąpiła do pałacu dla zabrania rzeczy, i niezatrzymywana przez nikogo, wyjechała cichaczem.

Gawiedź tylko przed kościołem i na rynku miasta długo gwarzyła o tych niezwyczajnych godach.

Patron, zwyciężca, ze swoją zdobyczą, Zosią, udał się wprost do gospody. Dziewczyna pośpieszyła zrzucić coprędzej bogate stroje, które jej zbolałe ciało paliły; wuj Tomasz nabył dla niej od jakiejś kobiety zwyczajne suknie, bowiem pilno było biedaczce wrócić do dawnego stanu z tych pańskich rozkoszy.

Ku wieczorowi, kiedy patron wyszukiwał wózka do najęcia, jaknajprędzej chcąc pocieszyć Justka w austeryi — wsunął się nieśmiało do izby officyalista wojewody. Był to *sui generis* lichy prawnik, pilnujący pomniejszych spraw pańskich; wszedłszy, nie wiedział od czego zacząć rozmowę i jak cel swego przybycia objaśnić; pierwszy go tedy gospodarz zagadnął:

— Wiem co tu waćpana sprowadza: z rozkazu pańskiego przychodzisz mnie wybadać, co dalej czynić zamyślam?

Prawnik uśmiechnięty. kiwał głową, rad, że mu rozwiązanie celu przybycia przyśpieszają patron mówił dalej:

— Otóż powiem waszmości, iż zastanawiam się; obecnie nad dwiema ważnemi sprawami; pierwsza jest: jako jurysta obeznany z prawem rozumiesz mię waćpan— pierwsza tedy jest, z rozdziału 11, art. 13, „o gwałtowne wzięcie w małżeństwo dziewki, wdowy i każdej niewiasty“, który oile sobie przypominam, coś w tym sensie głosi, iż: „ten ktoby się tego ważył, ma gardłem karany być, a za nawiązkę trzecia część wszystkiego imienia ma spaść na tę osobę gwałtem wziętą. A szkody, któreby się przy takim gwałcie stały, za dowodem, na dwóch częściach tegoż imienia, mają być skazane i t. d.“

— Czybyś jegomość zamyślał wytoczyć taką sprawę jaśnie wielmożnym państwu? — zapytał prawnik przerażony.

— Ba, sprobuję. Czy się powiedzie?— świadków wiarogodnych mi nie braknie. Wszakże, jeżeliby się ta sprawa nie podobała jaśnie wielmożnemu panu — mówił patron szyderczo—to mam inną na pogotowiu.

— A jaką?—ośmielam się jegomości zapytać?

— Pozwać wojewodę od imienia sukcessorów Czeczotków w sprawie wiadomej, na mocy małoletności wówczas jednej sukcessorki, oto tej panny, w której obronie nikt tu nie stawał; w tej sprawie sam chcę stanąć od wojewody, za jego prokuracyą.

— Jakże to rozumieć?—spytał się prawniczek.

— Spytaj waść swojego pana, który z tych dwóch pozwów życzy sobie wkrótce odebrać? — a dodaj z łaski swej odemnie, że sprawa o Czeczotkę będzie pierwszą, którą mu przegram, a ostatnią z jego spraw attentowanych przezemnie.

— Nie wiem czy jaśnie wielmożny pan zgodzi się....—rzekł jurysta.

— To macie, krótko mówiąc, wóz i przewóz: jeżeli nie życzycie sobie pierwszej sprawy, to racz mię waszmość zawiadomić, czyli się na drugą zgadzacie, i to jeżeli łaska, nie zwlekać odpowiedzi, bo zaraz odjeżdżam z moją siostrzenicą.

Wypowiedział to patron stanowczo, dając odprawę juryście; a gdy ten się wycofywał w pokłonach — rzekł mu, podając zwitek ze strojami i klejnotami, które Zosia niedawno zrzuciła:

— Chciej to z łaski swej waćpan wręczyć szatnej pani wojewodziny.

Pięć lat minęło, kiedy poraz pierwszy poznaliśmy zaciszną kotlinę Czeczotki; a jeżeli łaskawy czytelnik raczy tam teraz z nami razem zajrzeć, zawoła, jak na cud, iż nic się od pierwszego poznania nie zmieniło.

Zdawało się, iż tensam dworek o dwóch gankach stoi u przyczółka skały, takiemiż barwami przepołowiony; otaczają go tesame kwiaty i drzewa.

Dawny potoczek, nieujęty przez tamy, szumiąc spokojnie naturalnym biegiem, obraca parę młynków, jak niegdyś.

Po łąkach hasają wesołe trzody.

Chatki chłopków, którzy wywędrowali za dawnymi dziedzicami, aby po szerokim świecie nabyć przekonania: „że wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej“— wróciły na dawne miejsca.

Nie zapomniano też o chwale bożej: bo zdala czerwieniała, jak niegdyś, kopuła kapliczki, obok zaś na plebanii zasiadł nieco młodszy towarzysz

nieboszczyka O. Hugona, także emeryt zakonu bernardyńskiego i chwaląc Boga, wosk z własnej pasieki przetapiał na świece dla swojego konwentu.

Daje się widzieć tażsama przyźba wzdłuż dworku, z tą jedynie różnicą, iż na niej, już nie dwoje, ale troje ludzi siedziało; bowiem włoda niewiasta tuliła u łona uśpione niemowlę, a gdy, nucąc mu na sen, zapatrzyła się ku niebu, siedzący obok niej młodzieniec ozwał się z uśmiechem:

— Cóż-to, Zosiu, spoglądasz ku górze, czy ci żal tego, co za górami?

— O nie!.... kiedy Bóg łaskaw, przy pomocy wuja Tomasza wyrwał nas ztamtąd, zakażę nietylko staremu, ale i młodemu Justkowi, tam zaglądać—rzekła z westchnieniem niewiasta, przyciskając silnie dziecię do piersi.

I tyle.

Kto zaś ciekaw dalszych losów kasztelana, to powiemy w nawiasie, że w parę tygodni po owym niedoszłem małżeństwie, zakończył romansowy żywot od ataku podagry.

K o n i e c.